N. 1. WARSZAWA d. 25 Grudnia (6 Stycznia) 1872 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Z Lamartine'a.

Jest wiek, gdzie dusza lutni pomału, pomału,
Zdaje się, że zasypia: harmonijne tchnienie
Poetycznego szału
W tych piersiach kona, w których budził niegdyś drżenie.
I ptak, czarując gaik jaworu, czy klonu,
Niestety! nie zawsze śpiewa:
W południe milczy, okryty cieniem drzewa,
A zachwyca powabem srebrzystego tonu
Dzień, li w brzasku jutrzenki, lub w ciemnościach skonu.

Juljan Miłkowski.

PARYŻ W AMERYCE

DZIEŁO

EDWARDA LABOULAYE'A

PRZEJRZANE

przez **Elizę Orzeszkową**.

Przed rozpoczęciem obecnego przeglądu, czuję potrzebę wytłomaczenia się w kilku słowach przed czytelnikami z wyboru dzieła, będącego jego przedmiotem, a to ze względu nie na wartość dzieła tego, która jest wielką i niezaprzeczoną, ale na dość oddaloną w przeszłości datę pojawienia się jego na świecie. Przeglądy piśmiennicze, których celem jest zwracanie uwagi publicznéj na wybitniejsze utwory pióra krajowe lub zagraniczne, zajmują się zwyczajnie dziełami świeżo wyszłemi z pod prasy i mają w tem za sobą niejedną i niejednostronną słuszność. Ja przecież zamierzając od czasu do czasu skreślać i uwydatniać główne zarysy dzieł, które wydadzą mi się szczególnie godnemi zajęcia ogólnego, inną cokolwiek dla téj zamierzonéj roboty mojéj, obrałam sobie nić kierowniczą. Zdawało mi się, że społeczność nasza a mianowicie społeczność nasza kobieca, niezbyt rozmiłowana w pismach treści poważnéj, wiele cennych i istotnie pięknych a pożytecznych rzeczy, zostawia po drodze nie podejmując ich ani spożytkowując i przyswajając. Skoro zaś tak jest, nie będzie może bez pożytku, jeśli ktokolwiek cofnie się wstecz od czasu do czasu i na szlaku przebyłéj już drogi, poszuka przez niedbalstwo lub niewiadomość pozostawionych na niéj dyamentów...

Jak bowiem w dziedzinie kruszców, tak w szerokiem państwie myśli i prac ludzkich, bywają szlachetne płody, które nie starzeją się pod wpływem czasu ani rdzewieją pod najgrubszą choćby warstwą niepamięci. Ominięte lub zapomniane spoczywają one w cichości płonąc niewidzialnem, lecz niespożytem zawartem w nich światłem, a gdy czyjakolwiek ręka podejmie je i na widną wyniesie przestrzeń, jaśnieją znowu tak jak jaśniały niegdyś i jak zawsze jaśnieć będą, ponieważ to, co stanowi ich istotę, prawda i piękno nie gasną nigdy...

Dzieło Ed. Laboulaye'a noszące tytuł: *Paryż* w *Ameryce*, miało kiedyś świetną porę ogólnéj i dobrze zasłużonéj sławy, ale... nie u nas, nie pomiędzy nami. Najlepszym dowodem tego, żeśmy utwór ten pominęli nie podniosłszy go jest, o ile mi się zdaje fakt, żeśmy go piśmiennictwu naszemu za pomocą przekładu na język nas nieprzyswoili. Zajmując się aż do ostatnich czasów głównie i przed wszystkiemi innemi literaturą francuzką, dziwnyśmy czynili wybór pomiędzy belletrystycznemi utworami téj literatury, ile razy szło o przyodziewanie je rodzinną naszą mową. Mamy tłomaczenie wszystkich prawie dzieł, (raczéj dziełek) Paul de Kock'a, większéj prawie połowy olbrzymich bajek Dumasa ojca, obecnie jeszcze trudnimy się tłomaczeniem Fevala, Gaboriau itp. autorów, ale prace tak szlachetnych myślicieli, głębokich a zarazem przystępnych pisarzy jak np. Juljan Simon Legouvé, Esquiros, Torqueville, Laboulaye, muszą pozostać obcemi każdemu, komu nieznaną jest mowa francuzka lub ktokolwiek nie posiada w niéj aż takiéj wprawy, aby pisane nią dzieła poważne przystępnemi mu być mogły. Słyszałam wprawdzie powielekroć powtarzane zdanie, że znajomość języków obcych jest u nas tak bardzo rozpowszechnioną, iż obejść się możemy z łatwością bez tłomaczeń, posiadając i bez nich klucz do otworzenia sobie skarbów zamkniętych w piśmiennictwach zagranicznych. Jeśli tak jest, na cóż przydały się tak gęsto jednak dokonywające się przekłady dzieł lekkich, małą bardzo zazwyczaj wartość posiadających?

Dokonywanie takich przekładów byłoby tedy niekonsekwencją, gdyby zdanie o bezpotrzebności wszelkich przekładów dobrze było uzasadnionem. Ja wszakże nie poczytuję je za takie. Języki obce (mianowicie francuzki) są w istocie dość rozpowszechnione u nas, nie tyle jednak aby znaczna ilość osób, które czytają albo ze względu na stopień swéj oświaty czytać by powinny, nie pozostawała pozbawioną téj umiejętności. Znaczna ilość mężczyzn takich szczególniéj którym praca w specyalnym jakim kierunku podejmowana zagarnia czas i siły, nie zna wcale obcych języków albo zna z nich zaledwie jeden; pomiędzy kobietami feniksem jest nie umiejąca mówić po francuzku, lecz umiejąca czytać pisane w nim poważne dzieła, również może rzadkiem zjawiskiem.

Nie tu wszakże jest miejsce do długiego zastanawiania się nad kwestją potrzeby lub potrzebności przekładów, które wszędzie indziéj roztrzygnięto oddawna, u nas tylko pozostała dotąd w stanie kwestji. Dzieło Laboulaye'a ze wszech miar zasługuje na to, aby publiczność nasza zastanowiła się nad niem przydłużéj nieco, wniknęła w ducha jego i dążności. Powaga bez pedanterji, dowcip bez trefnisiostwa, głębokość poglądów i gorąca miłość dla wszystkiego co mądre i szlachetne, co uszczęśliwia życie i uzacnia szczęście jednostek i społeczeństwa odznacza dzieło to, stanowi powab jego i wartość. Obok tego jest to jeszcze dzieło prorocze. Pisząc je Laboulaye należał do téj małéj liczby francuzów, którzy bogaci w wiedzę i doświadczenie a natchnieni miłością, bole-

jąc srodze i rozmyślając głęboko nad wadami, usterkami a nawet występkami ojczystéj swéj społeczności, przepowiedzieli niejako te klęski i nieszczęścia, w jakie ona w skutek właśnie tych wad, usterek i występków popaść wkrótce miała. Wszystkie te względy skłoniły mię do tego, że nie oglądając się na datę, nakreśloną na pierwszéj stronicy téj książki, umyśliłam w krótkim zarysie zdać czytelnikom sprawę z jéj treści. Jest to naturalnie drobna niby miniatura, dokonana z obrazu obszernych rozmiarów i mistrzowskiéj roboty. Być może jednak, że rzut oka na tę miniaturę zachęci kogo do zapoznania się z obrazem, zapoznanie to nikomu nie przejdzie bez pożytku, bo to będzie rozmową z głosem prawdy i przypatrzeniem się obliczu piękna.

Dzieło Laboulaye'a przenosi czytelnika do Stanów Zjednoczonych, to jest do kraju w którym najsilniejszemi tentny uderza życie nowożytnego społeczeństwa, w którym nowe idee przybierają ciało i wchodzą w praktyczny, codzienny użytek ludu, wtedy gdy w staréj Europie uczeni zaledwie poczynają ogłaszać je z katedr małéj garstce wybrańców, a tłum niedowierzający i ostrożny, nie przestaje czcić dawnych bogów i postępować po wązkiéj lecz utartéj i łatwéj ścieżce rutyny i starych przywyknień. Lecz tak wielka żywotność społeczeństwa Stanów Zjednoczonych, to silne i niepohamowane życie, które wrzącym prądem przebiega jéj arterje, ta niezmierna zdolność przyswajania i przyoblekania w formę wszystkiego co czas i mądrość wieku przynosi z sobą, nie zadziwi nikogo znającego kraju tego historję.

Na grunt świeży i nietknięty a pełen bogactw hojnéj tam natury, ludność wygnana z Europy prześladowaniami religijnemi lub politycznemi, przyniosła zarody staréj europejskiéj cywilizacji. Pierwsi koloniści którzy zaludniali Stany Zjednoczone, nie byli na podobieństwo innych narodów świeżo kraj jaki osiedlających, pogrążeni w pierwotnéj ciemnocie i nie zostali zmuszeni następnie krwawym trudem i bojem, dobijać się odrobiny światła, z któregoby zaczerpnęli pierwiastki na społeczne i państwowe swe urządzenie. Pielgrzymi którzy pierwsi w 16-tym i 17-tym wieku przybyli na dziewiczym gruncie północnéj Ameryki zakładać swe osady, byli przeważnie Anglikami wygnanymi z ojczyzny pod panowaniem krwawo pamiętnéj Marji Tudor, a następnie siostry jéj Elżbiety. Przynieśli więc z sobą trzy węgielne kamienie, na których zbudowało się w przyszłości wielkie państwo: oświatę zaczerpniętą ze ścierania się religijnych i politycznych opinji, jakie naówczas wstrząsały Europą i jakich oni sami byli po części ofiarami; zamiłowanie swobód jakich używali Anglicy na mocy wielkiéj karty danéj ich przodkom w odległéj porze panowania Jana bez Ziemi; i wspomnienia prześladowań jakim ulegli w skutek nietolerancji i nadużycia władzy. Na tych trzech węgielnych kamieniach, emigranci angielscy przeważnie protestanci różnych sekt: episkopalni, purytanie, kwakrowie i inni, poczęli zakładać kolonje owe, zawiązki drobnych państewek mających z czasem utworzyć jedno ogromne państwo dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. Z tych trzech pierwiastków: gotowéj już oświaty, zamiłowania swobody i gorzkich łez pouczających wspomnień o krzywdach doznanych, utworzyło się prawodawstwo drobnych kolonji na zasadach mało naówczas praktykowanych w Europie: wolności, równości i tolerancji religijnéj.

Były to szczęśliwe i bogate w skutki początki, jakich niedostawało europejskim narodom w porze kształcenia się ich społecznego i państwowego. Zarazem oświeceni, miłujący swobodę i nauczeni w szkole nieszczęść pielgrzymi, znaleźli się otoczeni najdzielniéj pomocniczą i najobfitéj bogatą naturą, która sama zdawała się zapraszać ludzi do pracy i obiecywać im w zamian nieprzebrane bogactwo plonów.

Przestrzenie nieuprawne a porosłe bujną choć dziką roślinnością, tak rozległe, że według geografów i statystyków pomieścić i wyżywić mogą 300,000,000 ludzi, otworzyły się przed nowymi przybyszami. Dziewicze lasy w których głębiach nie postała nigdy stopa ludzka zaszumiały nad ich głowami, o brzegi kraju obijały się fale wielkiego morza, przedstawiając mnóstwo miejsc sposobnych na przystanie i porty ułatwiające handel. Grunt obiecywał tam urodzajność i zapowiadał plony nieznane Europie, lasy i olbrzymie pastwiska, wzywały do rozległego przemysłu, liczne koryta rzek spławnych i morze oblewające brzegi, przyrzekały pomyślność handlu.

W tak więc pomyślnych warunkach wewnętrznych i zewnętrznych, przybyli do Ameryki koloniści i wzięli się do pracy. Bogactwo ziemi i doskonałość prawodawstw ściągały im coraz większy napływ ludności, w końcu 18-go nareszcie wieku ludne i wielkiem bogactwem władnące Stany, zrzuciły z siebie przewagę i wszelki wpływ Anglji, uważanéj do owego czasu za Metropoliją i połączyły się w jedno wielkie Państwo, złożone z wielu pojedynczych ogniw, składających przecież jednolitą i dobrze spojoną całość.

Nic więc dziwnego, że takie początki bytu i w tak mając pomyślnych kształtować się warunkach gleby, klimatu i tak topograficznego jak jeograficznego położenia społeczność Stanów Zjednoczonych przez krótki stosunkowo czas swego dotychczasowego żywota, prześcignęła w wielu rzeczach stare społeczności europejskie. Nic w tem nie ma dziwnego zapewne, i w tem jak wszędzie indziéj dobitnie objawia się wieczny łańcuch przyczyn i następstw, niemniéj jednak fakt istnieje, że nigdzie życie społeczne nie rozwija się z taką żywotnością i energją jak w Stanach Zjednoczonych, nigdzie tak jak tam prawa jednostki nie są tak wysoko poważane, nigdzie człowiek nie czuje się tak wolnym od więzów jakiemi w starych społecznościach krępują go przesądy, niewyrozumowane zwyczaje, niesprawiedliwe ustawy, wszelkie słowem pozostałości dawnych wieków, których ciężar czują europejskie narody nie posiadając dość siły, aby się od nich wyswobodzić.

Wiele zapewne do tych szczęśliwych rezultatów przyczyniła się znana energija i żywotność Anglo-Saksońskiéj rasy, co nawet tak dobrze się uwydatnia, że północne Stany rzeczypospolitéj Amerykańskiéj zamieszkane po większéj części przez potomków dawnych kolonistów Anglików tak zwanych dziś Jankesów, objawiają nierównie więcéj mocy i jędrności, nierównie więcéj zdolności pracowania i przyjmowania w organizm swój soków płynących ze świeżych idei, niźli stany południowe osiadłe głównie przez Francuzów potomków emigracji francuzkich, wyszłych najczęściéj z łona szlachty i arystokracji tego szlachetnego lecz mało praktycznego kraju.

Bądź co bądź Stany Zjednoczone są dzisiaj niby typem szczęśliwości społecznéj i doskonałości państwowego układu, na który zwracają oczy wszyscy reformatorowie i postępowcy Europejscy. Kraj ten wiele przemawia do wyobraźni a jeszcze więcéj do rozumu. Ktoś energicznie broniący się od złudzeń optymizmu, może zapewne dojrzeć plamy i na tem słońcu przyświetlającem dzisiejszym narodom, nikt jednak zaprzeczyć nie może, że posiada ono w sobie istotne światło i ciepło.

Jednym z ludzi wysoko szanujących społeczność Amerykańską, jest Edward Laboulaye uczony historyk i moralista.

Przed kilku laty zajmował on profesorską katedrę w jednym z najwyższych zakładów naukowych we Francji, i w bardzo pięknych trzyletnich kursach wyłożył historję Stanów Zjednoczonych i osnowę ich konstytucji.

Nieco zaś później napisał znowu dzieło o tym kraju p. t. Paryż w Ameryce. Jest to satyra, gorzka, gryząca a zarazem pełna miłości i pragnień rozprawa moralna o obyczajach, prawach, cnotach, wadach, przesądach i skłonnościach dwóch społeczeństw.

Francja i Stany Zjednoczone stają tu w paralleli w wielce niekorzystnem świetle przedstawiającéj pierwszą. Stare nałogi Francuzów i młoda siła Amerykanów, przesądy, niewolniczość i lekkość pierwszych a jasność poglądów, swoboda i gruntowność drugich, ścierają się tu na każdym kroku jaskrawemi odmalowane farbami. Sarkazm gorzkim i pełnym żałości lecz zawsze udatnym dowcipem, tworzy tło na którem rozpościerają się obrazy życia dwóch światów wręcz przeciwnych sobie. Wszystko tu ujęte w formę lekką, łatwo dającą się czytać jednym ciągiem bez znużenia, i owszem pomimo bardzo poważnéj treści, z ciągłem zajęciem aż do zabawy posuniętem.

Bohaterem książki jest niejaki pan Lefebre, Francuz Paryżanin czystej krwi, ze wszystkiemi paryzkiemi przywyczkami i przesądami, ale obdarzony wszelką względnością formy, bo bogaty, ożeniony z piękną i światową paryżanką, ubłogosławiony dwojgiem dzieci i mnóstwem orderów i tytułów tak uczonych jak urzędowych.

Ten to szczęśliwy śmiertelnik spokojnie używający wszystkich darów fortuny i uciech Paryża, miał raz nieszczęście nieuważnym żarcikiem obrazić pewnego spirytystę, męża wielce potężnego, bo władającego mocami nadprzyrodzonemi.

W rodzaju zemsty duchowładca daje mu do połknięcia dwie zaczarowane pigułki, które Francuz tknięty punktem honoru, trochę przez ciekawość i niedowiarstwo a trochę dla popisania się z odwagą mężnie połyka; poczem spokojnie układa się do snu nie bez poczucia jednak pewnych zmian, które od chwili przyjęcia zaczarowanego specyjału zachodzą w fizycznym i duchowym jego organizmie. Aliści zaledwie usnął budzi go twarda ręka czarodzieja, który usadowiwszy się na krawędzi jego łoża z najzimniejszą krwią objawia, że cudowne działanie połkniętych pigułek przeniosło go w mgnieniu oka do Ameryki wraz z domem w jakim mieszkał, familiją, sąsiadami i całym Paryżem urządzonym naturalnie na sposób Amerykański.

(d. c. n.)

ZMIANY

I ODKRYCIA NAJŚWIEŻSZE

w Afryce.

(Dokończenie).

Pierwsze większe obniżenie postrzeżono pod Bir Ressam, odległem tylko o 15 mil od morza Śródziemnego. Miejsce to leży o 104 metrów poniżéj powierzchni morza; podobnież obniżoną jest cała kilkumilowa przestrzeń, ciągnąca się ku południowo-południowschodowi. Dopiero góry Harudź zdają się być właściwą granicą, właściwym brzegiem lądu stałego Afryki. Po kilku dniach podróży w kierunku południowo-południo - wschodnim, napotyka się pierwsze oazy Audźila i Dźjalo, które podobnież leżą poniżéj powierzchni morza, pierwsza na 52, druga na 31 metrów. Wadi, w kierunku północno wschodnim za Dźjalo, leży według Rohlfsa podobnież o 31 metrów poniżéj

powierzchni morza. Do oazy Jowisza Ammona trzeba ztąd iść jeszcze dziesięć do dwunastu dni, po większéj części głuchą puszczą, mimo pagorków piaszczystych Rhart i wyżyny Gerdoba. Tak pagórki jak i wyżyna mają leżeć o 10 metrów poniżéj morza. Są pagórki, względnie znacznie wyższe, ale jest także wiele zagłębień kotlinowatych, leżących względnie o 20 do 30 metrów niżéj, niż cała przestrzeń. Źródło Tarfaya przytyka do puszczy Libijskiéj, która jest wyżyną mającą w ogóle 100 do 150 metrów wysokości bezwzględnéj. Tuż na południu téj wyżyny, mającéj stromy, kamienny brzeg, ciągnie się aż do oazy Jowisza Ammona szereg jezior, leżących o 40 do 50 metrów poniżéj powierzchni morza; najznaczniejsze z nich od zachodu ku wschodowi są: *Faredga* albo *Sarabub*, *Lneszka*, *Nokta Sanja*, *Araszie* i *Sziata*. Ku północy wyżyna puszczy Libijskiéj dzieli grunt obniżony od morza Śródziemnego. Jak daleko przestrzeń ta obniżona rozciąga się na południe, oznaczyć nie można, puszcza bowiem Libijska na południe linii pomyślanéj z Andżila do Siwah jest nieznana. Na południe Siwah nawet krajowcy nigdy nie dotarli; na południe Andżila droga karawanowa idzie przez oazę Kufarah do Wadai, oaza wspomniona ma jeszcze należyć do okręgu depresji.

Już w starożytności wiedziano, że oaza Jowisza Ammona leży poniżéj powierzchni morza, chociaż nie znano instrumentów mierniczych. Dowódzą tego słowa Arystotelesa, który twierdzi, że oaza ta powstała skutkiem wyschnięcia morza, i leży niżéj od dolnego Egiptu. W naszych czasach Francuz Cailland, pierwszy zwrócił uwagę na niskie położenie téj oazy. Na całéj przestrzeni widać po dziś dzień liczne ślady morza. W jeziorach wspomnionych jest mnóstwo muszli Cardium i Crithium właściwych morzu Śródziemnemu, ziemia pokryta jest wszędzie ostreami..

Jak wiadomo Francuzi powzięli nieco dawniéj plan,przekopania groblio ddzielających morze Śródziemne od téj wielkiéj niziny. Najłatwiéj możnaby to zrobić od strony wielkiéj Sytfy. Cyreneika stałaby się półwyspem, połączonym z Egiptem tylko za pomocą wązkiego międzymorza, a na południu utworzyłaby się zatoka otwarta dla okrętów handlowych. Cóżby to była za zmiana! Wykonanie jednak takiego planu, gdyby mogło przyjść do skutku, jakże wiele zajęłoby czasu, jakże okropne pochłonęłoby sumy! Rohlfs mniema, że z czasem woda zaleje nizinę nawet bez pomocy ludzkiéj, czego dowodem obniżenie pomiędzy Tripoli a Bengasi.

Wspomnianą tu kilkakrotnie oazę *Andżila* czyli Udżila zwiedzali rozmaici podróżnicy. W r. 1798 był tam Hornemann, w 1852 Hamilton, w 1862 Beurmann, wreszcie w 1869 Rohlfs. Ten ostatni opisał ją najdokładniéj i podał bardzo wiele ciekawych szczegółów, o rozmaitych plemionach mieszkających na tym kawałku ziemi. Zdaje się że w odległéj starożytności oaza ta nie miała stałych mieszkańców. Herodot wspomina, że Nasamonowie mieszkający nad syrtą, chodzili tam dla zbierania daktyli.

Dopiero późniéj osiedliły się tam podobno plemiona libijskie,chociaż okoliczność iż cześć dla gwiazd miała tam być nieznaną, domysłu tego nie potwierdza. Za czasów rzymskich stała tu warownia dla ochrony karawan; Leo w 15 wieku widział jeszcze mury téj warowni. Dzisiejsi mieszkańcy dzielą się na trzy szczepy. *Uadżilowie* zaludniający oazę Andżili i część oazy Dżialo, zwłaszcza główną stację Lebba: *Modżabrowie* w Dżialo i jéj głównéj stacji Areg, *Suayowie*, w Leszkerch. W Batofl wszystkie trzy szczepy są z sobą pomięszane. Uadżilowie pochodzą z Libii, mówią dotąd djalektem Tamasirht i język ich jest blisko spokrewniony z językiem mieszkańców z Rhadames, Sokna, Sivah. Czy Madżabrowie należą do ludów Berberyjskich, jest wątpliwem; mówią wprawdzie po arabsku, lecz nie chcą uchodzić za Arabów. Suayowie są prawdziwemi Arabami. Według obliczeń Rohlfsa i podań krajowców, Andżila ma 4,000 mieszkańców, Dżialo 6,000, Leszkerch 500 a Batofl 1,000, ogółem 11,000 do 12,000 ludności. Pod względem zewnętrznym nie widać różnicy pomiędzy ludami berberyjskiemi a Arabami, ale sposób życia i zatrudnienia tych plemion jest odmienny.

Modżabrowie są znani w całéj puszczy jako wyborni kupcy, wszędzie mają kredyt, tak w Egipcie, Bengasi i Tripoli, jak w Wadai, Bornu i Haussa. Całe życie spędzają na dalekich, niebezpiecznych podróżach. Oni to otwarli w r. 1811 bezpośrednią komunikacją z Wadai na Kufarę i Wadjangę.

Uadżile trudnią się ogrodnictwem i wynajmowaniem wielbłądów. Nie biorąc bezpośredniego udziału w handlu, ułatwiają stosunki z Bengasi i sąsiedniemi oazami: każdy dorosły jest przewodnikiem. Suayowie z Leszkerch żyją z palm i wielbłądów.

Wszystkie oazy podlegają zwierzchnikowi, mieszkającemu w Bengasi. Rządzi niemi Mudyr, mający siedzibę w Dżalo, ale przebywający po większéj części w Beugasi. Podczas jego nieobecności każde plemię rządzi się samo. Wykonawcą sprawiedliwości jest Kady, ustawiony także przez rząd Bengasi. Mieszkańcy płacą podatek tylko od palm, po 2 ½ piastrów od sztuki, palm zaś według obliczeń urzędowych ma być 100,000. Pomiędzy pieniędzmi w obiegu będącemi najpospolitsze są tureckie, tudzież talary Marji Teresy.

Z wysp afrykańskich jedną tylko, ale ważną dla geografii zwierząt mamy do doniesienia nowinę. Na północ wyspy św. Maurycego leży Round czyli Ronde-Island. Jestto mała wysepka, czyli raczéj ostrokrąg wulkaniczny, mający 990 stóp wysokości. Wysepkę tę zwiedzali niedawno dwaj uczeni: Barkly, gubernator wyspy św. Maurycego, i badacz przyrody Vandermeersch, i znaleźli tam *jaszczurki*, tudzież sześć gatunków *wężów*. Jest to odkrycie tem ważniejsze, ponieważ na wyspie św. Maurycego i na Reunion wcale nie ma wężów. Prawdopodobnie płazy te nie są z tąd rodem, lecz zkądciś przyszły.

Pogadanka.

Życzenia składane z tytułu świąt, imienin wreszcie dnia noworocznego, niezmiernie są charakterystyczne. W starożytności we wszystkich uroczystościach rodzinnych wróżono, i omijaniem doświadczonych szkopułów starano się szczęście podejść i złapać jak ptaka w sidełka: w nowożytnych czasach życzą sobie wierząc w siłę dobrych chęci. Wiara zatem w pomyślność przypadkową, unoszącą się w około nas niby woń lub dźwięk, mogącą być nabytą jak towar w sklepie, nie zginęła, tylko moneta za jaką ją kupujemy, zmieniła stempel i wartość wewnętrzną.

Wróżby pomyślne była to rzecz niegdyś niezmiernie droga, życzenia nawet szeląga nie kosztują. Każdy jest ich posiadaczem obfitym, dostatnim, i aby wymowa posługiwała szastać niemi może bez obawy wyczerpania. W najnowszych dopiero czasach życzenia nieco straciły na swojéj wartości. Ulegając zwyczajowi nie skąpimy ich i dzisiaj, ale czujemy że to tylko dźwięk słów, wypływ galanterji połączonéj z życzliwem usposobieniem, pragnienie dobra ale nie ono samo.

W poszukiwaniu przyczyn wszystkiego co się w koło nas dzieje i co nas otacza, przyszliśmy wreszcie do przekonania, że chcąc dojść do jakiego celu, trzeba powstać i iść, a nie czekać aż cel ten sam do nas dojdzie, lub cudzem staraniem i wysiłkiem rzucony pod nogi zostanie.

W tym zwrocie szczęśliwym do rzeczywistości-w rozbracie z rozmarzaniem się i gonieniem za błędnemi ognikami, Warszawa pierwsza dała przykład i w dwóch latach upłynionych otworzyła tyle różnorodnych instytucji, stowarzyszeń, banków, tyle pod tym względem okazała skrzętności, energji i jak najlepszych chęci, że słusznie należy się jéj uznanie. Wszystko to wprawdzie z małym niezmiernie wyjątkiem, nie rozwija się jeszcze tak jakby mogło i powinno, ale nowicjuszom wiele wybaczyć należy. Przyczyna główna brak poparcia ogółu, brak jasnego pojęcia przez masy tego, co już zna dobrze i rozumi jakie kilka tysięcy ludzi dobréj woli, pragnących pobudzić do działalności większość, właściwie w tym względzie interesowaną.

Namowy, przekładania, zachęty nic tu nie pomogą. Bierność da się zniszczyć tylko rozszerzeniem większem oświaty, wniknieniem w jéj w najtajniejsze i najuboższe zakątki kraju i to nie dorywczem, nie skierowanem do jednéj jakiéj okoliczności, ale gruntownem poczynającem się od szkółek elementarnych rozumnie uorganizowanych.

W prawdzie rozwój pismiennictwa perjodycznego ze zwrotem do podnoszenia kwestji społecznych, jak również nowo powstające organa nauce poświęcone, jak Niwa, Przyroda i Przemysł, Gazeta rzemieślniczo-przemysłowa, dzielną pod tym względem pomoc mogą przynosić, ale nie jest to jeszcze działanie na ogół. Aby ten podnieść, potrzebnem tu jest obok innych usiłowań, założenie Towarzystwa szerzenia oświaty, któreby zająwszy się wydawnictwem dziełek tanich a pożytecznych, jednocześnie rozwinęło starania o jak największe ich rozpowszechnianie. Niech książeczki te uczą i bawią zarazem, niech kosztując kilka lub kilkanaście groszy, zachęcają i taniością i treścią swą do ich nabywania, a przyszłość błogosławić będzie przeszłości, myśl rozumna coraz więcéj rozpraszać będzie umysłowe ciemnice i wreszcie weźmie przewagę i pociągnie najobojętniejszych. Ludzi chętnych do założenia podobnego stowarzyszenia, znalazłoby się u nas dosyć, a wyjednanie odpowiedniego pozwolenia u władz rządowych, sądzimy że z łatwością dałoby się uskutecznić.

W sprawach powszedniego życia żadna ważniejsza zmiana nie zaszła. Pisma gorętsze i zapalczywsze walczą z sobą o lepsze w dogryzkach i przycinkach, redaktorzy ich kłują i kolą się jakby swary ich osobiste były kwestją ogół obchodzącą, papier z cierpliwszemi jeszcze czytelnikami, krzywi się i krztusi, nic to jednak nie pomaga, wojna trwa ciągle na zabój, mnożąc bezpotrzebnie szpargały na torebki handlu kramarskiego. Nowo powstałych pism dotąd nie ma w obiegu, nic więc o nich powiedzieć nie możemy. Urządzenie bazaru przez Towarzystwo Dobroczynności, w celu zasilania szczupłych a raczéj niewystarczających funduszów na ratunek biedy i nędzy warszawskiéj ludności, powiodło się jak najwyborniéj. Wprawdzie na przeciwnikach wszelkich zabaw na cele dobroczynne nigdy nie brakuje, więc i tu znaleźli się niechętni myśli téj nowéj, dowodząc, że gdyby sprzedające panie, kupujący i dostarczający towar kupcy

złożyli dobrowolnie wszystkie przez siebie dla bazaru poniesione wydatki, toby biedni lepiéj na tem wyszli. Być może, ale nie zapominajmy, że zabawa dla ludzi jest koniecznością, niezbędnym warunkiem do krzepienia sił w pracy obowiązkowéj: że sam odpoczynek jakkolwiek wzmacnia nie zadowolni umysłu równie domagającego sie wytchnienia. Zabawa stanowi owo tak upragnione wytchnienie, jeżeli więc połączymy z nią i korzyść biednych, nie może być w tem nic zdrożnego.

Orkiestra Lewandowskiego i Kuhnego wzmocniwszy się szczątkami ocalonemi z rozbitków Sonenfelda, rozdzieliła się na dwie oddzielne połowy i zajęła estrady zarówno w Resursie Obywatelskiéj jak i Szwajcarskiéj dolinie. Publiczność licznie nawiedza oba te miejsca dźwięki muzyczne oklaskując brawami, a bufetowym usługom złorzecząc za ździerstwo i niedbalstwo.

Po karłach, olbrzymach i ośmiocentnarowych Florach, mamy taraz gimnastyków, przy nich żywe obrazy i nadzieję widowisk białéj magji. Są jeszcze jakieś widoki różnych świata szczególności i scen krwawych z ostatniéj wojny francuzko-niemieckiéj, którym za kilka dziesiątek można się dostatecznie napatrzyć. Za to gimnastycy ceny wejść rublami oszacowali. Oby ich za to krezusowe ocenienie publiczności warszawskiéj, nagrodzono.... pustkami.

Teatr już zaczyna występować z maskaradami i jest nadzieja, że przy trzeciéj Warszawa rozrusza się i napełni ją, a nawet przepełni tłumami żądnemi rozrywki i tajemniczych szeptów, zakrytych pod maską piękności. Zwolenników tego publicznego mruczka rozgrzywanego wśród tropikowéj atmosfery i akompanjamentu pukających korków w obocznym bufecie, jest wielu i to zapalczywych nie na żarty aż do wezwań, próśb, gróźb i wymówek zamieszczanych na dzień drugi w obu kurjerach.

Scena obu teatrów idzie jak szła dawno utartym torem, mało a nawet nic prawie nie zważając na głosy prasy perjodycznéj, domagającéj się pierwszeństwa dla nowości oryginalnych, z pominięciem lichego ramot fabrykatu zagranicznego. Być może, że owe tak upragnione nowości oryginalne jakie już od tak dawna gwałtem dopominają się wystawienia, nie odpowiadają w zupełności wymaganiom scenicznym, ale w każdym razie z pewnością o wiele treścią swą i dążnością wyżéj stoją od tych, które dotąd tak licznie w tłomaczeniu na scenie się naszéj ukazały. Niecierpliwiąc słuchaczy, do sprawozdań żadnego nie dostarczają wątku, dla tego wyłączyliśmy je z programu naszego pisma, czekając aż coś okaże się żywotniejszego, więcéj interesującego prawdziwych miłośników sceny. Czy doczekamy się kiedy téj upragnionéj chwili, czas to dopiero pokaże, wiemy tylko, że prac oryginalnych jest dosyć w zapasie, że godziłoby się już raz przecie, podać rękę szczeréj pomocy miejscowym pisarzom.

Gazeta Polska w ostatnim numerze zeszłorocznym, ogłosiła usunięcie ogłoszeń treści pism tygodniowych, jakie zwykle z wyjściem każdego numeru robiła. Uznając przytoczone powody za zupełnie usprawiedliwione, nie mamy nic przeciw nim do nadmienienia, ale sądzimy, że względność ta powinna być jeszcze zachowana dla nowych pism: Niwa, Przyroda i Przemysł i Gazeta rzemieślniczo przemysłowa i dla dawniejszych trzech: Bibljoteki Warszawskiéj, Zorzy i Przyjaciela Dzieci, jako pism jednych oddanych ściśléj nauce, drugich kształceniu prostaczków. Oba te cele wymagają poparcia i wszelkiéj jeszcze pomocy ze strony codziennéj prasy.

Z jakich jednak powodów, Kłosy odmówiły stanowczo przyłączania prospektów i ogłoszeń przemysłowych do swoich numerów, to rzeczywiście trudno odgadnąć. Usługa ta wzajemna, chętnie wykonywaną była dotąd przez wszystkie pisma nie wyłączając nawet codziennych, najmniéj pod tym względem interesowanych. Gdyby solidarność ta zerwana została, gdyby wszystkie pisma chciały naśladować samolubne Kłosy, wiadomość o nowo powstających publikacjach niezmiernie byłaby utrudzoną. Wreszcie wzajemna tu pomoc jest obowiązkiem a nawet powinnością, uchylać się od niéj niewolno nikomu. Kłopot z wkładaniem prospektów nie usprawiedliwia odmowy, wspólny on jest wszystkim redakcjom, wreszcie roznosiciele sowicie są za niego wynagrodzeni, a dodatki każde ma pismo nie same jedynie Kłosy. Wymówką tą kończę niniejszą pogadankę, trudną była do przełknięcia ale nie mogłem jéj pominąć, boć dobrych chęci dla sprawy ogółu, nie dowodzi się pięknie brzmiącemi słowami, ale czynem, o który nie tak łatwo jak się pokazuje.

BAZAR.

— Jeszcze na początku roku zeszłego, w Warszawskiem Towarzystwie Dobroczynności, projektowano założenie kilkodniowego Bazaru, na wzór tego, który przed paroma laty tak się świetnie powiódł w Wiedniu. Dochód z owego Bazaru jak się to każdy łatwo domyśli, przeznaczonym być miał na korzyść biednych, pod opieką tejże instytucji zostających, lecz urządzenie zostało odłożone do dalszego czasu, ponieważ zdania różniły się co do powodzenia pomienionego Bazaru. Przy końcu dopiero tego roku wznowiono projekt który niebawem zamieniono w czyn, a zaprosiwszy panów kupców do współudziału, powierzono roboty w urządzeniu sklepów członkowi Towarzystwa budowniczemu Józefowi Dietrich'owi, którego gust niemałe już przebył próby. To też wkrótce wspaniałe sale Redutowe przeistoczone zostały w jakiś uroczy pałac z „tysiąca i jednéj nocy.“ Trzydzieści i pięć sklepów przybranych w różnobarwne festony, żarzące się świece i gazowe żyrandole, gustowne toalety dom, gwar, tłum, i muzyka Sonnenfel'da, kazały chwilowo zapomnieć iż żyjemy życiem powszednieem, a umysł przenosił się w jakieś krainy czarodziejskiego uroku. Do wspanialszych sklepów zaliczyć można namiot p. Juljana Penkali, zdobny w ciężkie portjery, zastawiony mnóstwem towarów łokciowych, futer i gotowych kostiumów. Następnie namiot p. Brunera gdzie pośród tysiąca bronzów świeciły jak gwiazdy dawnego przemysłu, owe stare porcelany Saskie, dziś należące do prawdziwych osobliwości. Namiot pana Knoll'a łączył w sobie sprzęty zbytku i prawdziwéj potrzeby. Wiemy iż zaraz dnia następnego pomieniony sklep, zmuszony był w nowy zasób towarów zaopatrzyć się. Daléj sklepy pp. Sommera z perfumami wystawionemi w ozdobnéj szafie, w któréj tenże fabrykant, produkował swe wyroby, na ostatniéj wystawie przemysłowéj w Petersburgu, narożny Bednawskiego, Genelego z dywanami i bronią myśliwską. Bardzo zdobiły tenże sklep trofea umiejętnie porozwieszane. Rzepczyńskiego nęcący mnóstwem przysmaków, nakoniec bufet Loursa tak często i ochoczo odwiedzany, a tak szczerze podejmujący przez skrzętną gosposię, która nigdy nieodmawia swéj pracy, kiedy idzie o pomoc cierpiących współbraci. Między odnaczającemi się sklepami, wyróżnił się jeszcze namiot hrabiny Rembielińskiéj, własnym jéj kosztem wystawiony, a który sam przez się zasługiwał na miano, „Bazaru“ dla różnorodnego towaru zakupionego przez samą Hrabinę, jak niemniéj z dobrowolnych ofiar, i tak: Bracia Lesser nadesłali Towarzystwu Dobroczynności zabawek za rs. 150 magazyn p. Skoczyńskiego i Drewsa (dawniéj Arnholda) dwa bizantyńskie kandelabry, i nader piękny świecznik. P. Łapiński właściciel piekarni, nadesłał pieczywa przeszło za rs. 30. Nadmienić to musimy, iż te przysmaki rozerwano jednéj chwili.

P. Czajkowski bombonierki i wyroby swego cukierniczego zakładu, pani Włodkowska kilkanaście sztuk strojów damskich, pan Fuchs likiery, a pan Schneider wódki i wiele innych datków, a byli i tacy którzy gotówkę złożyli.

Początkowo publiczność sądziła iż na Bazarze, nie wszyscy załatwić będą mogli sprawunki kolendowe, a to dla ich nieprzystępnych cen, tymczasem zarząd Bazaru chcąc właśnie takowy popularnym uczynić za warunek sobie położył, iż towary powinny być różnorodne gatunkiem i cenami, tak iżby Bazar, nietylko dla kieszeni magnatów służyć mógł. Nie obyło się jednak i bez hojnych naddatków np. za jedną gruszkę w sklepie p. Rzepczyńskiego ofiarowano ośm półimperjałów, za maszynkę do kawy kilko rublową hr. I. Z. dał rs. 25. W ogóle ruch był wielki. Damy nie szczędziły swéj pracy i chętnie krzątały się około swych sklepów, w których po kilka na raz gościło.

Podajemy tu alfabetyczne ułożone nazwiska Dam i tak panna Andrault, baronowa Buturlin p. Bojarska z córkami, p. Marja Bersohn, pani Franciszka Beneveni, z hr. Tyszkiewiczów Chodyńska, pani Helena Chłapowska, p. Ksawerowa Czermińska, p. Czaplicka, kasztelanka Dębowska, Mieczysławowa Epstein, p. Epstein Teressa, pani Elenef, p. Garbińska, Jenerałowa Hertzfeld, Senatorowa Hoffmann z córką. p. Józefa Hermann p. Jełowicka z córką, Baronowa Korff z córką i synową, hr. z Lavalów Kossakowska, hr. z Chodkiewiczów Kossakowska, hr. Karolowa Krasińska, hr. Adamowa Krasińska, Jenerałowa Kryloff, p. Marja Krysińska, hr. Krukowiecka z córką, p. Bronisława Kuksz, p. Walerja Kłodnicka, p. Kurczyńska z córką, p. Gabryela Karska, p. Antonina Kremky, p. Jadwiga Kraushaar, p. Komierowska, Jenerałowa Lachnicka, z hr. Zamojskich księż. Tadeuszowa Lubomirska Stefanja z hr. Illińskich Laska, p. Luceńska z córką, — Izabella Lauber, p. Marja Lochman, Stefanja Leo, hr. Jadwiga Łubieńska, hr. Zdzisławowa Łubieńska, Jenerałowa Meller Zakomelska, pani Miączyńska, hrabina Mikorska, — pani Mansfield, — hrabina Hortensja Małachowska, Baranowa Medem, Józefa Minasowiczowa, pani Mitkiewiczowa, półkownikowa Madalińska, hr. Stanisławowa Ostrowska, p. Ostrowska, Hrabianka Natalja Potocka, hr. Stefanja Platerowa hr. Marja Platerowa, hr. Zygmuntowa Plater, hr. Ludwikowa Plater, p. Ludwika Preiss, pani Stefanja Pawłowska p. Paprocka, Pelagja z hr. Zamojskich Rembielińska, Jenerałowa Rozwadowska, p. Rosen p. Melanja Rawiczowa, p. Rozenzweig, p. Rabczewska, Jenerałowa Sobolew z córkami, Kornelja Skarzyńska, p. Skarzyńska z córką, p. Natalja Sokołowska, pani Sarnecka, księż. Eliza Teniszew, hr. Iza Tyszkiewicz, hr. Marja Wodzyńska, p. Marja Wielogłowska p. Helena Wojnilowiczowa, Wanda Weisenhoff p. Halina Wołoszewska, p. Wojewódzka, Marja z hr. Potockich Ordynatowa Zamojska, p. Aniela Zielińska z córka i panną Zucini.

Po odtrąceniu wydatków jakie z urządzenia Bazaru wynikły, a które wynosiły rs. 692 k. 54 i pół. czysty dochód dla Towarzystwa Dobroczynności przypadł na rs. 6079 k. 86 i pół.

Czy na przyszłość powodzenie Bazaru będzie równe tegorocznemu, niemożemy zapewnić tylko wiemy, iż w końcu przybywali sami p. kupcy z propozycją współudziału, i to nietylko miejscowi, ale nawet z miasta fabrycznego Łodzi. Jak wiele to trudu i zachodu kosztowało urządzenie Bazaru, ci tylko dokładne wyobrażenie mieć mogą, którzy się około tego krzątali. Podzięka się też szczera należy czcigodnym członkom Dobroczynności, za tę ciągłą i nie wyczerpaną w pomysły pracę, aby tylko osiągnąć cel, który sobie wytknęli, zapisując się do téj obywatelskiéj instytucji, my zaś zrobimy tylko na przyszłość tę propozycją, aby w liczbie sklepów, przeznaczono jeden na sprzedaż obuwia, a drugi na sprzedaż kwiatów naturalnych, bo któż na święta w te dwa sprawunki nie zaopatruje się, czyż może być praktyczniejszy nabytek jak pierwszy, a piękniejszy upominek jak drugi.

KORESPONDENCJA.

Pani Julji Marji w Ż.... Pracę zamierzoną dla Przyjaciela Dzieci bardzo chętnie przyjmiemy. Nadesłana próbka odpowiada istotnéj potrzebie tego pisma. Prosimy o adres w celu bliższego porozumienia się.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego (ul. Królewska N. 1066*k*) Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 1. r. 1872.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Tom II.

Drugiego dnia u źródła, hrabina dała znak panu Stanisławowi kołującemu po ścieżkach w oczekiwaniu Domskiéj, która tego dnia wyjść miała, aby się do niéj zbliżył.

— Cóż tu u was słychać? Piknik? (nie chciała od razu zagadnąć oto co ją zajmowało najwięcéj).

— Piknik bez pani? wykrzyknął Grejfer, dzień bez słońca, nie udał się, ziewali wszyscy i rozeszli się o dziesiątéj.

— Któż był a kto nie był?

— Pań mało... życia żadnego, stroje zaniedbane słowem odbył się tylko dla ceremonji.

— A Domskie?

— Pani Domska prawie ciągle chora, odezwał się trochę zmięszany Grejfer... córka się bawić nie lubi.

— Wprędce jadą? zapytała hrabina.

— Zdaje mi się — tak, — gotują się już do drogi.

— Pan tam często bywałeś?

— Czasami.. panna bardzo miła..

— I bardzo bogata! z przyciskiem dorzuciła hrabina, — o tem pan pewnie dobrze wiedzieć musisz?

— Ja? tak dalece.. nie wiem.

— Przecież przez Jaworkowską.

— Tak — coś — słyszałem.. ale panna bardzo wykształcona i wychowanie świetne..

— Cóż potem kiedy tam pana pono Pilawski uprzedził, roześmiała się hrabina złośliwie spoglądając na niego, i natychmiast nie dając mu ust otworzyć rzekła. Pilawskiego niepodobna nie ocenić.. chyba by kto smaku i instynktu był pozbawiony. Człowiek jakich mało.. wielce sympatyczny i...

— Wiem, że miał szczęście podobać się pani.. roześmiał się Grejfer.

— Bardzo nawet, panie Grejfer, — bardzo.. zawrócił mi był głowę — wprost poczęła hrabina — wcale się z tem nie kryję, ale trafiłam na serce zajęte.

Pan Stanisław zmilczał, zdawał się namyślać — zwrócił twarz ku hrabinie i wybąknął niewyraźnie.

— W mojem przekonaniu wcale pospolity człowiek, wcale pospolity.. ale szczęśliwy.

— Toś się na nim nie poznał — odparła Palczewska. Słyszałam już przybywszy tu, że puszczono tu o nim jakąś bezsensowną plotkę.. rzecz ta się wyjaśni. Wprost potwarz i dosyć niezręczna.. Albert go znał w uniwersytecie.

Grejfer był jak na mękach..

— Ja tam, odezwał się z trudnością dobywając wyrazów z siebie — ja tam — o niczem nie wiem, ale nie sympatyzuję z nim.. to trudno..

— Myślę, że to nawet niepodobna! szepnęła Palczewska złośliwie.

— Jak to pani rozumie? obrażony podchwycił Grejfer.

— Temperamenta, charaktery, wychowanie, upodobania macie panowie różne. Pan stworzony jest do świata i salonu, on do cichego życia domowego i życia pracy. Trudno, żeby się on podobał, lub pan jemu.

— Wcale się też o to nie starałem, z przymuszonym uśmiechem odezwał się młody człowiek, zresztą jak to zwykle u wód bywa, rozjedziemy się i więcéj nie spotkamy. Co się tycze tych, jak je pani zowie plotek, ja o nich nic nie wiem... nic nie wiem.

— Bardzo mnie to cieszy.. tak bezsensownego nic byś też pan nie powtórzył — zakończyła pani Palczewska, żegnając go skinieniem głowy. Greifer jednak choć odprawiony, niespokojny nie miał ochoty odejść. Czuł potrzebę tłomaczenia się dłuższego, język mu swierzbiał.

— Na podobne gadaniny najlepiéj nie zwracać uwagi, chociaż trudno ludzi obwiniać, rzekł z przymuszoną żartobliwością. Pan Karol Surwiński koniecznie w nim chciał widzieć jakiegoś zamaskowanego magnata, nie dziw, że drudzy odkryli awanturnika. Po cóż się tak z sobą ukrywać, i dla uczynienia zajmującym osłaniać tajemnicą?

Hrabina szła nie odpowiadając nic, Grejfer dodał jeszcze:

— Na każdego z nas ludzie plotą, choć jesteśmy znani i tutejsi, cóż dziwnego że i na obcego również.

Nie odebrawszy i na to żadnego słówka odpowiedzi, skłonił się wreście i powoli odszedł.

W tem pozornie tak spokojnem i wesołem towarzystwie, złożonem z ludzi sobie po większéj części obcych i przypadkowo na krótki czas zgromadzonych, przymuszona wesołość okrywała nurtujące spodem prądy małych intryżek, zachodów i mrówczą krzątaninę tego gatunku ludzi, którzy nie mogą wytrzymać, żeby pod pretekstem własnego interesu lub moralności publicznéj, bliźnim nie szkodzili. Przezacny Surwiński pracował nad wyjaśnieniem prawdy, pani prezesowa nad odkryciem fałszu, Grejfer nad sprawą własnéj kieszeni, naostatek hrabina musiała się rozerwać. A że los na pastwę im wszystkim wydał w tym roku pana Pilawskiego i Domską, padali nieszczęśliwi ofiarą. Szczęściem, mimo podejrzeń gorliwego czarno-żółtego Mamrotha, o których wspomniał Hercogowinie, bliższe badania okazały fałsz tego domysłu i ocaliły panią Domską od możliwéj jakiéj nieprzyjemności, w czasie wojennym mogącéj mieć następstwa groźne. Mamroth który lubił się gorliwie zajmować — (dla dobra ogółu) — śledzeniem indywiduów zdających mu się podejrzanemi, gdy raz powziął myśl iż przybyła z Berlina osoba, mogła mieć jakąś misję półurzędową, systematycznie wziął się do odkrycia prawdy. Napisał dokąd należało, odebrał odpowiedź, posłał raport i.... nierychło otrzymał zawiadomienie, iż omylił się grubo. Właściwe i kompetentne organa bezpieczeństwa publicznego oznajmiły mu, kto była pani Domska i uspokoiły zupełnie.

Urzędnik ten nadto był sumiennym, ażeby powiedziawszy domysł nieusprawiedliwiony przyjaciołce prezesowéj, nie miał go po bliższem zbadaniu rzeczy odwołać. Spotkawszy więc na przechadzce Hercegowinę, zawsze gotową do zajmującéj i nauczającéj z nim rozmowy, zatrzymał ją i odwiódłszy nieco w stronę, odezwał się: Pani prezesowéj, jeśli się nie mylę, zwierzyłem się z mojego domysłu w przedmiocie damy pod nazwiskiem Domskiéj tu przebywającéj. Jestem pewien, że pani, dawszy mi słowo iż wiadomość tę zatrzymasz przy sobie, zachowałaś ją tylko dla własnéj informacji. Otóż dziś przychodzi mi, sumienie każe, oświadczyć pani, że się omyliłem — tak — omyliłem się.

— W jaki sposób? spytała prezesowa ciekawie.

— Mam z najlepszego źródła, pewną wiadomość kto jest pani Domska, nie ma w niéj nic niebezpiecznego.

— Ale któż ona jest? któż, proszę pana?

Mamroth się uśmiechnął, dobył papierka z kieszeni i z języka niemieckiego przetłómaczył następującą, kancelaryjnym sposobem wystylizowaną karteczkę. Pani Zuzanna z... Domska, córka zamożnego obywatela z księztwa.. lat 48, otyła, włosy siwiejące.. Właścicielka Magazynu Mód w Berlinie, na rogu ulicy.. *Unter den Linden*.. Majątek znaczny, osoba w żadne obce swojemu powołaniu sprawy się niemięszająca, oddana wychowaniu córki, Elwiry.

Pani prezesowa posłyszawszy o magazynie mód, załamała ręce i parsknęła śmiechem pełnym tego szlachetnego uczucia radości, gdy się uda dobremu sercu znaleść na drodze kamień, którym cisnąć może na niespodziewającego się pocisku bliźniego.. Zadrgała z radości. — *Marchande de Modes*! *Marchande de Modes*! poczęła powtarzać, biorąc się za boki.. Otóż to nasi koneserowie salonowi! Wzięli ją też jak ten dudek Surwiński Pilawskiego za Grafa, za coś osobliwego, za wielką panią!.. a to....

— Wielką panią ona jest — przerwał Mamroth, piszą mi, że bardzo bogata!

— Z igiełki i nożyczek! ze wzgardą zawołała prezesowa..

— No — i córka obywatelska.

— Ale modniarka, nic więcéj jak modniarka! zawołała Hercogowina radując się — wielka mi figura! A tak to chodzi poważnie, jak jaka wojewodzina! A tak się to dmie, a tony sobie daje... Modniarka! Teraz zrozumieć łatwo dla czego pani i panna zawsze były tak postrojone.. Wszak ci to nic nie kosztuje, bo sobie z cudzych obrzynków poszyją fioki.

Mamroth patrzał zdziwiony i posępny.

— Nie rozgłaszaj pani tego, rzekł, nie ma potrzeby.

— Dla czego? cóż to? tajemnica stanu? Czemu ludzie nie mają wiedzieć, kto jest ta jejmość?

— Ja panią o to proszę — dodał przyjaciel — i powiem pani to jedno, że jeśli się to rozgłosi — nigdy w życiu ode mnie nieposłyszysz słowa..

— Prezesowa spoważniała nagle. To co innego! co innego, jeśli pan radzca mi zakazujesz..

— Proszę.

— Ale dla czego, dla czego? Urzędnik usta podniósł zaciśnięte w górę, popatrzał długo, brwi ścisnął i rzekł: Dla tego, że ja — proszę..

Prośba była niemal rozkazem.

— No — jakto nikomu?

— Nikomu.

— E! bo pan to nudny jesteś.

Tajemniczo dźwignął ramionami radca, schował kartkę do kieszeni, uchylił czapki i odszedł. Hercogowina postała chwilę, pomyślała i miała iść, gdy

oddawna zdala stojący na straży siostrzeniec p. Porfiry, zbliżył się zwolna z uśmieszkiem pełnem poszanowania przyszłego spadkobiercy.

Nie ma w świecie niewdzięczniejszéj roli nad konkurenta do szkatułki, bo nikogo gorzéj w ogóle nie przyjmują, nikt przykrzejszych nie obudza mysli, nikt na kwaśniejsze nie jest wystawiony humory, nikomu słodycz, uległość, cierpliwość nie opłacają się bolesniejszemi gderaniami, nad takiego siostrzeńca. Są może szczęśliwe charaktery starych, umiejące tę niechęć ku przyszłym spadkobiercom pokryć i osłonić, ale ciocia prezesowa była z natury kwaśną, cóż dopiero gdy jéj taki nieznośny *Memento-mori*, nawinął się na oczy. Nawet wesoła warzyła się natychmiast jak śmietanka w upały. Tym razem też, widząc nadchodzącego, ściągnęła brwi.

— Chciałem cioci dzień dobry powiedzieć.

— A i ja też zbieram ci się coś, powiedzieć także i myślę, że czas potemu.. bardzo czas ..

Podniosła groźne wejrzenia.

— Powiedz ty mnie, po co ty tu siedzisz? Co ty tu robisz? Już mi się przykrzy widzieć cię gdziekolwiek się ruszę na moich piętach? Czy to ja jestem małe dziecko, czy zgrzybiała baba, żebyście mnie tak nieodstępnie pilnowali?

— Ale uchowaj Boże, przerwał mocno się czerwieniąc Porfiry.. wszakże ja nie przeszkadzam... ja tu jestem... tak sobie... tak sobie... dla własnych moich okoliczności.

— Jakież? po co? zawołała ciocia, młody człowiek powinien coś robić, czemś się zająć, cóż ty robisz? Czas tracisz nadaremnie, bąki zbijasz.

— Proszę cioci prezesowéj, odezwał się nieco zmieszany Porfiry, który długo mówić nie lubił i nie bardzo był zdolny, proszę cioci prezesowéj — ja — ja — nawet mam cel mojéj bytności w Krynicy,. mój własny...

— Jaki i dla czegóż mi o nim nic nie mówisz? egzaminowała ciotka.

— Bo, cóż miałem mówić przedwcześnie, kiedy jeszcze nie mogłem nic rozpocząć?

— A cóż zamierzałeś rozpoczynać?

Porfiry spuścił oczy i westchnął.

— Proszę cioci przezesowéj, żeby się nie gniewała, bo ja na to mam zezwolenie od mamy, gdyby się co trafiło, ja, proszę cioci prezesowéj, zamierzyłem zakochać się i ożenić...

Usłyszawszy to wyznanie Hercegowina stanęła, wstrząsła się cała, ręce z różańcem splotła nagle, aż stawy w nich jękły i tupiąc nogą spytała.

— Co? co? matka ci tem głowę nabija? Ty! tobie żenić się?

— A dla czegóżby nie? rzekł Porfiry. W moim wieku ludzie bardzo się żenią i kochają.

— Młokos jakiś! A toś się spowiadać z tego powinien! zawołała ciotka. — Nic nie masz, nie zapracowałeś w życiu grosza, kąta dla żony nie znajdziesz...

— A, proszę cioci prezesowéj, jabym sobie życzył taką wziąć, żeby ona mnie do swojego kąta zaprowadziła — odezwał się Porfiry — ja inaczéj jak z osobą majętną żenić się nie myślę. Niech ciocia nie sądzi żebym był płochym.

— A któraż cię też zechce? która? przerwała surowa Hercegowina, ni z pierza ni z mięsa...

Młodzieniec spuścił oczy. Do pierza się nie poczuwał tak dalece, ale był przekonany iż z mięsem mógł się pochwalić. Jak go Bóg stworzył, to stworzył, ale pamiętał o sobie i starał się rumiano i krzepko wyglądać. Pracą się nie męczył, myśleniem nie nużył, jeść lubił, spać nie zaniedbywał. Ciocia była za surową, widział się skrzywdzonym i zamilkł. Prezesowa popatrzyła na tę konfuzję młodzieńca i ruszyła powtórnie ramionami.

— A cóż? może już i projekt gotowy?

Porfiry zamilczał. Mów że — cóż stoisz jak słup?

— Kiedy ciocia nie pochwala?

— Nie pytałeś się mnie w czas? a gadajże przynajmniéj — cóż robisz? Jesteś gotów w jaką kaszę wleźć, bo to tu ewangeliczna uczta w téj Krynicy...

Jeszcze raz westchnął pokrzywdzony.

— Cóż ja mam mówić kiedy ciocia prezesowa.. nie każe. Tak dalece się nie zaawansowałem.. a jeślim się cokolwiek i zakochał, gotów jestem odstąpić.

— Kogo? co? zakochałeś się? w kim? mów mi natychmiast.

Siostrzeniec zdawał się mocno z sobą walczyć.

— Proszę cioci prezesowéj, rzekł, nie ma jeszcze tak dalece nic. Na przechadzkach czasem mijałem po kilka razy.. i popatrzyłem.. to z ławki naprzeciw przyglądałem się i wzdychałem, alem jeszcze i słowa do panny nie mówił.

—A gdzież ta panna? jaka? gotóweś jeszcze w żydówce się zakochać?

— Ale proszę cioci prezesowéj, już nie jestem tak głupi, żebym nie wiedząc w kim, puścił się. Ja chodziłem wprzódy do kancelarji, i wiem kto to jest.

— A powiesz że mi nareście jak się nazywa?

— Śliczna panna, proszę cioci, tak pięknéj panny jeszcze nie spotkałem, prócz raz w teatrze we Lwowie, ale tamta była.. osoba... osoba.. niebezpieczna.. ta zaś obywatelka i majętna..

— Nazywa się?

— Panna Elwira Domska.

Ciotka śmiać się szczerze zaczęła i nie połajała nawet.

— Jak na początkującego wybór wcale nie zły, rzekła szydersko, tylko nie na twój to rozum, mój Porfirku.

— To jest prawda, szepnął siostrzeniec, że wedle tego co uważałem, stara się tam pan Pilawski który ma odzienie z Londynu i pan Grejfer, który się ubiera w Wiedniu.. a nawet Grejfer się tam wkręcił, ale kto to może wiedzieć, kto się podoba. Wszak i ja podobać się mogę.

Ciotka uderzyła się palcem w czoło za całą odpowiedź i parsknęła śmiechem. A daj temu pokój, rzekła, to nie dla ciebie.. Jak ci czas przyjdzie żenić się, wyszukać ci musimy żony i pomódz, sam rady nie dasz.

— Ja... proszę cioci prezesowéj, nie myślę się awansować zbytecznie, a jeślibym, prawdę powiedziawszy, dodał rozumny kawaler, trochę się pokochał, toć mi serce nie uschnie.. Ludzie się i po dwadzieścia razy kochają.. a ja ani razu dotąd...

Bystro spojrzała nań prezesowa. Zmów koronkę do Przemienienia, powiadam ci, darmo się na pośmiewisko nie dawaj.. jak ludzie zobaczą wezmą cię na fundusz...

Zmilkł Porfiry, ciocia jakoś zmiękła, może naiwność dziecka tego litość w niéj obudziła, uśmieszek błądził jéj po ustach.. Powoli zaczęła daléj iść ścieżyną a siostrzeniec krok w krok za nią, w ostatku dała mu rękę do pocałowania i odprawiła go.

—Nie durz się darmo, lepiéj byś do domu jechał i żniwa pilnował...

— Bardzo jeszcze nierozgarnięty i strasznie chłopiec niewinny, mówiła w duchu ciocia prezesowa.. Przypuśćmy, żeby téj dziewczynie córce modniarki przyszło do głowy go zbałamucić, wzięła by go jak chciała. Otóż skutek tych mięszanych towarzystw, gdzie się nigdy nie wie kogo się spotyka. Każdy dziś ma prawo tak samo się jak my ubrać, tak samo żyć i tam bywać gdzie i my. Dopilnuj że się tutaj ażeby poczciwi nie policzkowali.. z tego wszystko złe, że dziś nikt na swem miejscu nie chce zostać.. Pnie się każdy.. Obraza pana Boga...

I ciocia prezesowa, korzystając z chwili wolnego czasu, poczęła się modlić, bo miała czasem po kilka tysięcy *zdrowaś* do odmówienia w krótkim terminie. Osoba była pracowita i pobożna.

Najgorzéj wiodło się panu Stanisławowi Grejferowi, chociaż miał za sobą potęgę i protekcję pani Jaworkowskiéj. Grejfer jakeśmy się dziś nauczyli mówić, przerachował się, zapędził i spostrzegł że mógł być skompromitowanym bezużytecznie. Drzwi Domskiéj były mu jeszcze zamknięte, chociaż pani Jaworkowska zapewniała, że u matki jest jak najlepiéj położonym i że wkrótce nawet znowu przypuszczonym będzie do oblicza tych pań. Z dnia na dzień wszakże czekając na to, pan Stanisław doczekać się nie mógł aby go przyjęto. Nie uszło to kołatanie baczności ludzi, którzy z niego po cichu żartować sobie zaczynali, a tego Greifer znieść nie mógł. Lubił on sobie z drugich szydzić trafnie, ale siebie dotykać nie pozwalał. Co chwila oczekiwany i zapowiedziany powrót Pilawskiego niepokoił go wielce. Przeczucie jakieś zwiastowało mu, że będzie miał przykrą do przejścia chwilę. Byłby może nawet pod pozorem jakimś wyjechał, gdyby się nie wstydził, nie lękał gadaniny, że z placu uszedł dla wstydu lub niebezpieczeństwa. Jeśli kiedy, to teraz należało mu nadrabiać fantazją i nie okazywać wcale, że zwątpił o sobie.

W parę dni potem gruchnęło rano po Krynicy, iż Anglik przybył i że go już widziano. Gospodarz hotelu rozpowiadał wszystkim, iż koniecznie jaj świeżych zażądał do śniadania. Pilawski przyjechał z nim razem.. Byli w jak najlepszéj komitywie i przyjaźni, wspólna podróż zbliżyła ich i uczyniła poufałemi. Sir William stanął w pokojach obok Pilawskiego, drzwi łączące dwa mieszkania kazał otworzyć i cały ranek zszedł im na żywéj gawędzie. Ciekawi, którzy chcieli jéj podsłuchać pode drzwiami stracili czas i zachód, rozmawiali bowiem po angielsku i gospodarz upewniał, że brzmienie tego języka do ciągłego dławienia się było podobnem. Pierwsze odwiedziny tych panów około drugiéj godziny były do hrabinéj Palczewskiéj. Gospodarz, który wiedział iż wyjść mają i chciał się typowi angielskiemu przypatrzeć, opowiadał o wyspiarzu potem, iż miał piękną twarz, długą, zęby białe trochę zająca przypominające i wspaniałe bakenbardy. Takich panów co imitują Anglików, u nas panie pełno — mówił po cichu— ale to zaraz znać że Anglik prawdziwy.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg).

Temi słowy Kornelia potrąciła bezwiednie najdrażliwszą strunę w duszy Pawełka. Od pewnego czasu rozwijała się w nim i coraz bardziéj wzmacniała chęć być kochanym od wszystkich co go otaczali. Chęć ta stawała się potrzebą jego serca; tajemnicza jakaś siła, z któréj sam zapewne sprawy sobie nie zdawał, zbudziła w nim przywiązanie do osób z któremi się poznał w zakładzie doktora, a nawet i do przedmiotów które codzień widywał. Uczucie to zwiększało się w miarę jak chwila wyjazdu Pawełka bliższą się stawała. Rad był każdego w domu sobie zjednać i cierpiał na myśl, że ów wyjazd jego mógł być wszystkim obojętnym; nawet pies bardzo złośliwy stojący na łańcuchu w podwórzu, został skutkiem jego uprzedzających starań całkiem przyłaskawiony, dla tego tylko żeby później za nim zatęsknił.

Czując się zasmucony ostatniemi słowami Kornelii i chcąc ją przekonać, że się nie tyle od innych dzieci różnił jak to myślała, Pawełek opowiedział o ile potrafił, wewnętrzne swoje usposobienie i prosił swéj kierowniczki żeby go kochała pomimo tego co o nim myślała. Powtórzył to samo jéj matce, która właśnie była nadeszła i dodał, że sam nie wiedział dla czego był takim, że może zdrowie jego było tego powodem, w końcu prosił usilnie żeby go kochano, zapewniając że i on kochał całą rodzinę doktora.

— Być może że nie tyle co Florcię, dodał z ową szczerością która przy wrodzonéj nieśmiałości była u niego zaletą pełną powabu, — bo tyle nie umiałbym kochać nikogo, ale wszakże by nawet pani tego nie żądała?

— Cóż to za dziwaczne serduszko u tego dziecięcia! rzekła do siebie półgłosem pani Blimber.

— Ale kocham tu bardzo wszystkich, mówił daléj Pawełek, i smutno by mi było pomyśléć jak ztąd odjadę, że kto rad z tego, albo też nie dba że mię tu nie ma.

Po téj rozmowie, pani Blimber pozostała mocniéj jeszcze przekonaną, że Pawełek był najdziwaczniejszem dzieckiem na całéj kuli ziemskiéj, a mąż jéj, któremu wszystko to powtórzyła, zgodził się na jéj zdanie w zupełności. W jego przekonaniu, nauka była jedynym środkiem na którego skuteczność można było liczyć w tym razie, ztąd zalecił znowu córce, aby najusilniéj swego ucznia w niéj posuwała.

Należy oddać Kornelji tę sprawiedliwość, że i bez téj podniety czyniła w tym względzie wszystko co tylko było możliwem, a nawet i więcéj nieco, zdaniem biednego Pawełka. Pracował i on ze swéj strony ile tylko sił mu starczyło, wszelako od pewnego czasu zdolności jego coraz bardziéj ku innym celom się skierowały. Starał się okazać posłusznym, łagodnym i uczynnym, aby tym sposobem pozyskać życzliwość tych co go otaczali. Przebywał też częściéj niż przedtem pośród towarzyszy i rad był w każdéj rzeczy im się przysłużyć. Z tem wszystkiem, w głębi duszy zachował to samo upodobanie do samotnych dumań, i nieraz widywano go siadującego po dawnemu na schodach, lub też wieczorem przypatrującego się z okna kołysaniu się fal i przebiegającym po niebie obłokom. Skutkiem swych starań Pawełek potrafił z czasem zjednać sobie ogólną życzliwość towarzyszy; posępni owi i milczący trapiści, dręczeni nieustanną pokutą pod opiekuńczym dachem uczonego swego mistrza, pokochali wątłe to dziecię i nazwyczaili się widzieć w niem kruchą lecz miłą zabawkę, która każdemu była rozrywką i z którą każdy oględnie się obchodził. Ponieważ jednak nie było w możności Pawełka zmienić swą naturę i zająć się skutecznie własnym rozbiorem, pozostał jak przed tem dziwacznym i za takiego w zakładzie uchodził, co mu zkądinąd na dobre wychodziło, zapewniając mu swobodę któréj nikt inny w domu doktora nie używał. I tak, gdy odchodząc na spoczynek wszyscy uczniowie oddawali rodzinie Blimberów ukłon głęboki, Pawełek podawał śmiało rękę każdemu z jéj członków. Jeśli potrzeba było wyprosić kogo od kary, on brał to na siebie, a nawet zdarzyło się pewnego razu, iż służący z zapuchłemi oczami stłukłszy coś ze szkła stołowego, u nikogo innego nie szukał ratunku w swem trudnem położeniu, jak u Pawełka. Co więcéj,—powiadano —ale na pewno tego nie można zaręczyć — że kamerdyner łaskawszy na Pawełka niźli go kiedy widziano względem któregokolwiek z uczniów, dolewał niekiedy porteru do jego piwa, ażeby sił mu tym sposobem dodać. W dodatku do tych wszystkich korzyści, Pawełek miał wolny wstęp do pokoju Federa, a nawet zdarzyło mu się parę razy ztamtąd wyprowadzić Tootsa na wpół zemdlonego, skutkiem czynionych przez niego usiłowań. aby się nazwyczaić do palenia niegodziwych jakichś cygar, które płacił bardzo drogo, kupując je za prawdziwe hawańskie.

Mieszkanie Federa bardzo było dogodne; sypiał w małym gabinecie z którego wyjście było na pokój dość spory, zapełniony różnego rodzaju sprzętami, nie mówiąc już o znajdujących się tam w znacznéj liczbie książkach różnéj treści. Nad kominkiem był zawieszony bardzo na widoku flet, na którym Feder nie grywał jeszcze wprawdzie, ale na którym miał się nauczyć grywać. W podobnych zamiarach kupił był sobie waltornię, szachownicę ze stolikiem, różne przyrządy do rysunku, oraz rękawice do fechtowania. Téj ostatniéj nauce zamierzał stanowczo oddać się niebawem, gdyż zdaniem jego była ona poniekąd obowiązkową dla mężczyzny, dając mu możność opieki nad słabą kobietą bronienia jéj w razie potrzeby.

Feder posiadał także wędki i łyżwy, ale najszacowniejszym przedmiotem w jego zbiorze, była wielka puszka do tabaki z zielonéj gliny, którą mu Toots przywiózł był z wakacji przed rokiem, zapłaciwszy za nią bardzo drogo w przekonaniu, że była kiedyś własnością ks. Walji.Ani Feder, ani Toots nie mogli używać znajdującéj się w niéj tabaki, bez narażenia się na gwałtowne i niemal konwulsyjne kichanie; obadwa wszelako probowali niekiedy téj rozkoszy, znosząc bardzo wytrwale połączone z nią niedogodności i zapijając je piwem, przynoszonem do domu ukradkiem.

W podobnych chwilach, siedzący obok nich Pawełek słuchał w milczeniu z głębokiem zajęciem opowiadań kandydata filologji o strasznych tajemnicach Londynu, które tenże zamierzał sam zbadać z bliska korzystając z przyszłych wakacji, a nawet jak powiadał, już w tym celu zamówił był sobie prywatne mieszkanie. Odwaga jego zdawała się w tym razie Pawełkowi rzeczą tak godną podziwu, że czuł się mocno wzruszony samą myślą, iż siedzi tuż obok bohatera tyle walecznego.

Pewnego wieczoru, już przed samem rozpoczęciem wakacji, Pawełek wszedłszy do pokoju Federa zastał go zajętego wpisywaniem czegoś w leżące przed nim blankiety, które potem Toots wkładał w koperty i pieczętował.

— A! to ty Dombeyu, zawołał wesoło Feder, gdyż i on i Toots witali zawsze Pawełka z wielką uciechą.

Potem dodał, podsuwając mu kopertę już gotową...

— Jest tu list i do ciebie. Oto go masz.

— Do mnie? powtórzył zdziwiony Pawełek.

— Przeczytaj go; to zaproszenie, rzekł Feder.

Otworzywszy kopertę, Pawełek znalazł w istocie zaproszenie dla pana Pawła Dombeya w imieniu doktora Blimbera i jego małżonki, na tańcującą zabawę, mającą się odbyć za dni kilka. Początek jéj był oznaczony na godzinę siódmą. Spojrzawszy na inne blankiety, Pawełek znalazł na nich powpisywane nazwiska swych towarzyszy, a co więcéj, dowiedział się z wielką uciechą, że Florcia otrzymała podobne zaproszenie. Feder mu opowiedział, że zabawy tego rodzaju miewały miejsce w zakładzie dwa razy do roku, w sam dzień rozpoczęcia wakacji, i że zatem mógł tego samego już wieczoru, zabrać się z siostrą, jeśli tego życzył.

Nie dawszy mu dokończyć, Pawełek go zapewnił że niczego mocniéj nie pragnął. Dowiedział się potem od Federa, że wypadało, aby napisał na pół arkuszu welinowego papieru list do doktora i do jego małżonki, dziękując im za uczyniony mu zaszczyt, i obiecując swą bytność na zabawie. Uprzedzono go także, iż niewypadało aby wspominał w obecności rodziny doktora o czynionych przygotowaniach do téj uroczystości, albowiem należało do jéj programmatu, że miała być dla uczniów niespodzianką, gdyż tak bywa we zwyczaju i w innych zakładach naukowych wyższego tonu.

Pawełek podziękował Federowi za udzielone mu objaśnienia, potém schowawszy zaproszenie do kieszeni, usiadł na swem zwykłem miejscu obok Tootsa. Od pewnego czasu cierpiał często na głowę, ale w ciągu owego wieczoru ból ten stał się tak silnym, że Pawełek musiał opierać czoło na ręku, dla ulżenia sobie nieco. Stopniowo, w miarę zwiększania się cierpienia, spuszczał mimowoli głowę coraz bardziéj, aż wreszcie opadła na kolana Tootsa i tam spoczęła, jakby się więcéj podnieść nie miała..... Co się daléj stało, z tego nie potrafił późniéj Pawełek zdać sobie sprawy, musiał chyba chwilowo ogłuchnąć, gdyż to tylko sobie umiał przypomnieć, że go Feder wołał po imieniu, mocno przytem potrząsając za ramię. Kiedy podniósł głowę i spojrzał w około siebie, zobaczył stojącego przy sobie doktora i uczuł że miał czoło zimną wodą zmoczone. Okno było także otwarte, ale jak się to wszystko stało, o tem nie miał pojęcia.

— No, no, już wszystko dobrze, odezwał się Blimber. Jakże się teraz czujesz, moje dziecko? dodał bardzo przyjaźnie.

— Już całkiem dobrze, dziękuję panu, odpowiedział Pawełek.

To mówiąc, sprobował stanąć na nogach, ale wyraźnie musiało się coś popsuć w posadzce, tak mu trudno było na niéj się utrzymać, a także i ściany jakoś ciągle kręcić się chciały, jak nigdy przedtem nie bywało. Głowa Tootsa wydawała się Pawełkowi dwa razy większą jak zwykle, i kiedy go ów gentleman wziął na ręce, żeby go zanieść na górę, Pawełek zauważył ze zdumieniem, że drzwi poruszyły się z miejsca, i tam były gdzie się pierwéj komin znajdował.

Toots nie poprzestał na owym dowodzie współczucia dla przyjaciela, dopomógł mu jeszcze do rozebrania się, a potem usiadł przy jego łóżku i tam pozostał czas jakiś, sapiąc głośniéj jak kiedykolwiek. Po drugiéj stronie stał kandydat filologji, zapuszczając kościste palce w swą twardą i przystrzyżoną czupryne. Pochylony nad Pawełkiem, zdawał się w pogotowiu do rozpoczęcia wielce mądréj rozprawy, w celu przekonania go że mu jest już całkiem dobrze, a wyraz jego twarzy był w téj chwili tak wzruszający, a zarazem tak pocieszny, że mały Dombey nie wiedząc sam czy ma płakać czy też śmiać się, uczynił spojrzawszy na niego, jedno i drugie zarazem. Jakim zaś sposobem Toots zniknął potem z pokoju, a na miejscu jego znalazła się pani Pipchin, tego Pawełek nie umiał wcale sobie wytłomaczyć. Z resztą, skoro ujrzał dawną swą opiekunkę, inna myśl odwróciła jego uwagę.

— Ach! moja pani — zawołał — nie mów tylko o tem przed Florcią.

— Ale nic, nic jéj nie powiem; i cóżbym nawet miała do powiedzenia? rzekła obchodząc łóżko by usiąść u wezgłowia.

Pawełek zwrócił ku niéj głowę opartą na poduszkach i złożywszy rączki pod brodą, rzekł:

— Wié pani co ja będę robił jak wyrosnę?

Pani Pipchin nie umiała tego odgadnąć.

— Oto umieszczę wszystkie moje pieniądze i nie będę już się starał mieć ich więcéj, a potem zamieszkam na wsi z moją kochaną Florcią, będę

miał piękne ogrody, pola i lasy, i tam już na całe życie z nią zostanę.

— Doprawdy? spytała pani Pipchin.

— Doprawdy, odpowiedział. Wszystko to zrobię, skoro...

Tu się zatrzymał i przez chwilę milczał zamyślony. Szare oczy pani Pipchin badały jego twarzyczkę zasępioną.

— Zrobię to skoro dorosnę, — jeśli dorosnę, dodał wreszcie.

Potem zaczął rozpowiadać pani Pipchin wszystko co wiedział o gotującéj się zabawie, i ile był uradowany tem, że Florcia została na nią zaproszona, dodał że wie zawczasu jak się siostra spodoba jego towarzyszom, że go oni bardzo kochają, a on ich także i że to go czyni bardzo szczęśliwym. Powtórzył także swą rozmowę z panną Kornelią i to co w swym rozbiorze o nim napisała, przyznając że może i naprawdę był trochę dziwacznym; wreszcie spytał pani Pipchin co o tem myślała, jaki też był powód tego dziwactwa i co z niego mogło z czasem wyniknąć. Pani ta, dosyć zakłopotana owemi zapytaniami odrzekła, że wcale dziwactwa tego nie widziała, ale Pawełek nie poprzestał na tem zapewnieniu i patrzał wciąż na nią tak badawczym wzrokiem, że wreszcie aby go uniknąć, wstała i odeszła do okna, niby się czemuś chcąc przypatrzeć.

Ilekroć który z uczniów doktora zachorował, posyłano po lekarza mieszkającego w pobliżu, człowieka którego stateczna powierzchowność całkiem przystawała do poważnego nastroju zakładu. Otóż właśnie gdy się pani Pipchin zbliżyła do okna, lekarz ów wszedł w towarzystwie pani Blimber. Może nawet był z nią już od pewnego czasu w pokoju, ale dopiero w téj chwili spostrzegł ich Pawełek. Usiadł tedy na swem łóżeczku i odpowiedział na uczynione mu zapytania, potem poprosił lekarza po cichu żeby się Florcia o niczem nie dowiedziała i znowu mówił ile się cieszy tem, że ona będzie na zabawie. Rozmowa jego z owym eskulapem trwała dość długo i rozeszli się w bardzo dobrych stosunkach. Ale kiedy się Pawełek znowu położył po jego odejściu, usłyszał ale może było to we śnie, bo miał wtedy oczy zamknięte, jak lekarz mówił że brakło sił żywotnych temu dziecku, czego Pawełek nie potrafił dobrze zrozumieć, i że w ogóle było nader wątłe i osłabione. Dodał także że ponieważ Pawełek pragnął koniecznie opuścić zakład zaraz po zabawie, nie należało mu tego odmawiać, jeśliby zdrowie jego do tego czasu się nie pogorszyło. Wreszcie powiedział że zamierza napisać do Dombeya, skoro tylko dokładniéj rozpozna chorobę jego syna, a że tymczasem nie widzi powodu.... Tu zaczął mówić ciszéj, tak iż Pawełek reszty, słów jego nie mógł dosłyszeć; zdawało mu się wszelako iż w dalszym ciągu swéj przemowy, wspomniał o jego zdolnościach i o dziwacznem usposobieniu.

Czemże było owo dziwactwo tak w nim wyraźne, że je każdy za pierwszem wejrzeniem dostrzegał? Pawełek zadawał sobie z bijącem sercem to zapytanie i nie znajdował na nie odpowiedzi. Z resztą, nie wiele miał czasu na jéj szukanie, gdyż wkrótce ukazała się znowu jego oczom pani Pipchin. Skąd się wzięła? nie umiał tego powiedzieć, a nawet nie widział czy z pokoju wychodziła. Miała w jednéj ręce butelkę z winem a w drugiéj kieliszek. który napełniwszy, podała Pawełkowi. Zaraz potem znalazła się przy niéj pani Blimber ze słoikiem wybornéj galarety, przysmak ów na dobre już postawił chorego na nogi. Uprosił więc pani Pipchin aby na noc do siebie wróciła. O zwykłéj porze, Totzer i Briggs przyszli spać się położyć, ostatni był w najsmutniejszem usposobieniu, znał już bowiem treść rozbioru którego był przedmiotem, a wrażenie sprawione na nim ową pracą podziałało w sposób tak rozkładający, jak gdyby to był w istocie chemiczny rozbiór najdokładniéj zrobiony. Z tem wszystkiem, biedny chłopak nie mniéj się okazał od swych towarzyszy przychylnym dla Pawełka, każdy z nich powiedziawszy choremu dobranoc, zapytał go o zdrowie i dodawał mu odwagi nadzieją prędkiego wyzdrowienia.

Gdy się uczniowie porozchodzili, Briggs rozpoczął na nowo swe utyskiwania. Zapewniał że gdyby był skończonym zbrodniarzem, rozbiór jego osobistości nie mógł był wypaść bardziéj niekorzystnie. „Trzeba nie mieć sumienia, powiadał, — żeby dręczyć kogo i uciemiężać jak murzyna przez całe półrocze, a potem jeszcze nazwać go próżniakiem, żeby mu odkradać co tydzień z jakie dwa obiady za które płacą jego rodzice, a potem go jeszcze okrzyczeć żarłokiem niepoprawnym. Łatwo to wszystko napisać, ale potrafię i ja swoje o tem powiedzieć."

Wyrzekania nieboraka trwały do późnéj nocy. Nazajutrz z rana, zanim służący w bęben uderzył, przyszedł powiedzieć Pawełkowi żeby z łóżka nie wstawał, na co tenże z chęcią się zgodził. Wkrótce potem, przyniosła mu śniadanie taż sama młoda kobieta, która mu kiedyś dopomogła się ubrać, nazajutrz po jego przybyciu do zakładu. Jakże ten czas zdawał mu się teraz dalekim! Niezadługo pojawiła się znowu pani Pipchin, a za nią nadszedł i lekarz. Obejrzawszy Pawełka odszedł, i po pewnym czasie użytym zapewne na radę z Blimberem, wrócił razem z nim i z jego małżonką.

— Zdaniem więc mojem, rzekł wchodząc, możemy od dzisiaj uwolnić tego młodzieńca od nauk, zwłaszcza mając na względzie tak bliskie już wakacje.

— Zgadzam się na to z chęcią, odpowiedział Blimber. Kochanko, dodał zwracając się do żony, zawiadomisz o tem Kornelię.

— Zaraz to uczynię, odpowiedziała.

Lekarz pochylił się ku Pawełkowi i spojrzał mu w oczy z uwagą, potem pomacał mu głowę i posłuchał pulsu z takiem zajęciem, że chory z wdzięcznością mu podziękował.

— Nasz kochany Dombey nigdy się na nic nie skarży, rzekł Blimber.

— Zapewne, tak i ja sądzę że się nie musi nigdy na nic skarżyć, rzekł lekarz.

— Więc go pan dziś zdrowszym znajdujesz? spytał Blimber.

— O, daleko zdrowszym, odpowiedział eskulap.

Wymawiając te słowa, zdawał się wszelako tak zamyślony, że Pawełek przypatrujący się jemu z ową rozwagą niemal dojrzałą, stanowiącą główną cechę tego co w nim dziwactwem nazywano, począł zapytywać siebie co też mogło myśl jego tak bardzo zaprzątać. Ale gdy oczy lekarza spotkały owo badawcze spojrzenie dziecięcia, zbudził się nagle ze swego zamyślenia i życzliwy uśmiech zastąpił na jego twarzy wyraz przykrego zakłopotania. Pawełek uśmiechnął się także i na ten raz przerwał swe spostrzeżenia.

Przez resztę dnia pozostał w łóżku, to drzemiąc i marząc, to znowu wpatrując się w Tootsa. wytrwale przy nim czuwającego. Nazajutrz wstał od rana i ubrawszy się, zeszedł na dół. Ale rzecz dziwna! wielki zegar ścienny także się na coś był rozchorował, bo właśnie stojący na drabinie zegarmistrz zdjąwszy z niego cyferblat, naprawiał coś w jego wnętrzu, stoczkiem sobie przyświecając. Było to dla Pawełka wydarzenie nader wielkiéj wagi; usiadł tedy na schodach i przypatrywał się uważnie całéj téj robocie. Niekiedy, spoglądając na stojący tuż przy nim cyferblat, przerażał się jak gdyby to była twarz także na niego patrząca.

Rzemieślnik stojący na drabinie był człowiekiem znającym się na grzeczności. — Gdy zobaczył Pawełka skłonił mu się uprzejmie, pytając go o zdrowie. Ztąd rozpoczęła się między niemi rozmowa; mały Dombey opowiedział, że był chory dnia poprzedniego. potem oswojwszy się już bardziéj ze swym nowym znajomym, począł go rozpytywać o różne rzeczy tyczące się dzwonów i zegarów i jakim sposobem te ostatnie mogły bić w nocy po wieżach kościołów? Czy tam byli ludzie co nigdy nie spali i wybijali godziny, czy inne były dzwony od pogrzebów a inne od weselnych obrzędów, czy też tylko sposób uderzania w nie był odmienny? Ponieważ się okazało, że zegarmistrz nie wiele znowu wiedział o klepsydrach, Pawełek dał mu w tym przedmiocie niektóre objaśnienia; potem go spytał jako człowieka fachowego, co sądził o pomyśle króla Alfreda, który jak twierdzą kronikarze, chciał aby mierzono czas za pomocą topnienia żywicy zapalonéj pochodni? Na to, rzemieślnik odpowiedział, że gdyby kiedy ów pomysł wszedł w użycie, wszyscy zegarmistrze odrazu chleb by postradali. Pawełek nie przestał przypatrywać się téj robocie aż dopóki zegar nie powrócił do pierwotnego stanu, i nie zaczął znowu powtarzać poważnie swych niezmiennych zapytań. Wtedy zegarmistrz pochował swe narzędzia do pudełka i odszedł pożegnawszy swego nowego znajomego. Ale kiedy przez sień przechodził, Pawełek usłyszał że mówił coś do służącego i w słowach jego wyraźnie zasłyszał wyraz: dziwaczny.

Więc dziwactwo owo tak było wyraźnem, że każdego w nim koniecznie razić musiało? Ależ na czem polegało ono właściwie? Mając teraz wiele czasu wolnego, Pawełek częściéj jeszcze zadawał sobie to pytanie i nie mało niem bywał nieraz zakłopotany. Na szczęście jego, inne myśli rozrywały co chwila jego uwagę.

Pierwsze w nich miejsce zajmowała, ma się rozumieć Florcia, i blizkie jéj ukazanie się na zabawie w domu doktora. Pawełek wyobrażał sobie, jak się będą starali jego towarzysze uprzyjemnić jéj każdą chwilę owego wieczoru, i cieszył się myślą, że poznawszy ich, siostra będzie nadal o niego spokojniejszą, gdy po wakacjach przyjdzie mu wrócić znowu do zakładu.

Wrócić? Ale czy ów powrót kiedy nastąpi? — Co tu i myśleć teraz o tem! Biegając nieustannie po schodach z góry na dół i z dołu na górę, zbierając po wszystkich kątach domu swoje książki i drobiazgi, żeby je z sobą pozabierać. Pawełek ani umiał sobie wyobrazić, że po pewnym czasie ma pod ten sam dach powrócić, i jeśli przypomnienie to chwilowo go napadało, zdarzało się to wtedy tylko gdy myślał o Florci i o jéj smutku, gdy się znowu z sobą będą musieli rozstawać. Przez resztę czasu jeśli był samotny, swoim zwyczajem przechadzał się patrząc na otaczające go przedmioty, że ich więcéj nie ma zobaczyć i żegnał się z niemi, jakby na zawsze, z żywem wzruszeniem i z sercem żalem uciśnionem.

Nieraz błądząc po górnych pokojach zajmowanych przez uczniów, wyobrażał sobie jaka w nich wkrótce cisza zapanuje i zapytywał siebie, jak też ona długo trwać miała? Czy nie przybędzie tam z czasem na jego miejsce inne jakie dziecię, tyle co on dziwaczne, które dostrzeże na ścianach i na kobiercu te same co on dziwadła? A czy kto kiedy wspomni przed tym nowo przybyłym o małym Dombeyu, który kiedyś zajmował te same pokoje?

Pawełek wracał także często myślą do pewnego portretu w sieni zawieszonego, który patrzał smut-

nie na niego ilekroć przed nim przechodził, a jeśli się obejrzał, to widział jak go jeszcze ów portret oczami przeprowadzał, i nie wiedzieć dla czego zawsze na niego tylko spoglądał, nawet wtedy kiedy w kilku przed nim stali. Nie mało mu także dawała do myślenia stara rycina, znajdująca się na ścianie w przechodnim pokoju. Przedstawiała ona dziwną jakąś grupę, pośród której górowała znana mu postać otoczona światłością; zwracała ku niemu wzrok niewysłowionéj słodyczy i ręką wskazywała mu niebo. Pokój gdzie sypiał Pawełek budził w nim roje tłumnych myśli, bezładnie się nawzajem potrącających, z odurzającym szumem morskich bałwanów. Gdzie żyły te dzikie ptaki, które z okien widać było muskające toń skrzydłami za zbliżaniem się burzy? Zkąd przychodziły chmury i gdzie się tworzyły? Zkąd przylatywał grzmiący rozgłośnie wicher i kędy się zatrzymywał. Nieraz także Pawełek pytał siebie, czy ten kącik w którym Florcia tyle razy z nim siadywała, mówiąc o jego zdrowiu, wypytując go o wszystko tak troskliwie, pozostanie takim samym wtedy; kiedy oni oboje będą ztąd daleko i czy będzie tym samym dla Florci, gdyby oddalona od brata, sama go zwiedzała?

Wszyscy mieszkańcy zakładu zajmowali z kolei myśli Pawełka. Zwracały się one także niekiedy ku domowi ojca, a raczéj ku firmie Dombey i Syn, bo w pojęciach dziecięcia dwie te rzeczy jedno i to samo znaczyły. Nie zapomniał też o Walterze i rad był pomyśleć, że wuj jego już miał te pieniądze których tak bardzo potrzebował, ale ze szczególną trwogą sobie przypomniał owego dziwnego przyjaciela młodego Gaya, z żelazną ręką o jednym tylko palcu.

Ostatnie dni pobytu Pawełka u Blimbera upływały mu szybko w tym podobnych rozmyślaniach. Mając cały czas wolny, a do tego swobodę zaglądania gdzie mu się podobało, przeplatał swe dumania odwiedzinami, których celem bywali z kolei, to członkowie rodziny doktora, to znowu ów pies podwórzowy, którego przyjaźń pozyskał był sobie Pawełek. Obecnie, pragnął i jego zostawić dla siebie jak najlepiéj usposobionym; w ogóle stał się dla każdego uprzejmym i usłużnym ile tylko umiał; pomagał Briggsowi do wynalezienia w książkach potrzebnych mu ustępów, czego ten uczeń nigdy nie mógł dokazać; szukał wyrazów po słownikach dla towarzyszy pracą obarczonych, którym czasu brakowało: trzymał jedwab do zwijania pannie Korneljі, a niekiedy wszedłszy po cichu do gabinetu doktora, zasiadał u nóg jego na dywanie i obracając powoli globusy, odbywał podróże na około świata, lub też wyprawy w gwiazd krainy.

Tak tedy, podczas gdy inni uczniowie pracowali bez wytchnienia przed wakacjami, powtarzając cały kurs półroczny, Pawełek spędzał czas swobodnie, stając się z dniem każdym coraz większym ulubieńcem całego domu. Wszystko mu tam wolno było. Nie widziano nic podobnego od czasu istnienia zakładu i Pawełek sam zaledwie wierzył swemu szczęściu. Każdy go pieścił i każdy mu dogadzał, a nawet doktór był dla niego tak przychylnie usposobiony, że pewnego razu kazał Johnsonowi wstać od stołu za to tylko, że sobie pozwolił nazwać go biednym małym Dombeykiem. Co prawda, na razie wyrażenie to sprawiło Pawełkowi pewną przykrość i spytał siebie, co też w nim mogło litość obudzać? Z tem wszystkiem, kara wymierzona przez doktora, wydała mu się zbyt surową. Myśląc o tem zdarzeniu, Pawełek przypomniał sobie, że dnia poprzedniego słyszał jak pani Blimber mówiła o nim, że to ukochane dziecię staje się coraz bardziéj dziwacznem i zestawiając razem te wszystkie okoliczności, począł przypuszczać, że to w nim nazywano dziwactwem iż był wątły i nie silny i że potrzebował coraz częściéj pokładać się dla wypoczynku, kiedy inne dzieci tego nie robiły.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień zabawy. Przy śniadaniu doktór rzekł:

— Panowie powrócimy do nauk z końcem przyszłego miesiąca.

Toots chcąc okazać iż od téj chwili zrzucał z siebie szkolne jarzmo, włożył zaraz pierścionek na palec. Wkrótce potem, mówiąc o doktorze, nazwał go po prostu Blimberem. Ów dowód szalonéj odwagi wzbudził podziw i zazdrość pomiędzy starszemi uczniami, młodzi zaś nie mogli pojąć, jak się ziemia nie rozpadła pod tak zuchwałym człowiekiem.

Przy śniadaniu ani też przy obiedzie nie uczyniono najmniejszéj wzmianki o wieczornéj uroczystości, wszelako przez resztę dnia wielki ruch panował w całym domu. Pawełek snując się swoim zwyczajem po pokojach, zapoznał się z nieznanemi mu dotąd kanapami i świecznikami, a nawet przy drzwiach bawialnego pokoju napotkał arfę osłonioną zielonym pokrowcem.

Podczas obiadu pani Blimber miała dziwny jakiś i bardzo zdziwiony wyraz twarzy, dający do myślenia, że sobie włosy za mocno była związała; panna Kornelia zaś ukrywała pod warkoczami okrążającemi jéj czolo, liczne papiloty, których drukowane rogi miejscami wystawały.

Ku wieczorowi, odbyła się w pokojach zajmowanych przez uczniów wielka wystawa białych krawatów i kamizelek; nieco zaś późniéj poczęła się z tamtąd wydzielać tak silna woń spalenizny, że doktór przysłał służącego z zapytaniem, czy się gdzie ogień nie zajął. Pokazało się wszelako, że winien był w tym razie tylko fryzjer, który przez zbytnią gorliwość zanadto rozpalił swoje żelazko.

Musiał tedy i Pawełek pomyśleć o swojem ubraniu. Nie wiele mu to czasu zajęło; czuł się jakiś smutny i nie zdrów, zatem rad był co najprędzéj załatwić się z tą robotą. Gdy już był gotów i poszedł do salonu, zastał tam doktora Blimbera ubranego jak na wieczór i przechadzającego się poważnie, ale niby od niechcenia, jak gdyby się zaledwie kilku osób spodziewał. Wkrótce nadeszła pani Blimber bardzo uśmiechnięta i przystrojona w taką ilość spódnic, że obejść ja stanowiło niemal przechadzkę. W ostatku ukazała się i Kornelja, trochę może za bardzo wysznurowana, ale jak zawsze pełna wdzięku

Toots i Feder przybyli najpierwsi z pomiędzy gości. Takiemi bowiem byli owego wieczoru, i w dowód tego każdy z nich trzymał w ręku kapelusz.

Gdy kamerdyner wymówił głośno ich nazwiska, Blimber zawołał niby wielce zdziwiony okazując wielką radość z ich przybycia.

— O mój Boże cóż za miła dla mnie niespodzianka.

Toots miał na sobie bardzo wiele różnych śpilek guzików i czuł się tak dumnym ze wspaniałości swego stroju, że zaraz po powitaniu rodziny doktora, wziął na stronę Pawełka i rzekł do niego:

— Cóż na to powiadasz Dombeyu? Zdaje mi się że nie ma nic do zarzucenia.

Należy jednak wyznać, że w téj chwili pomimo pozornéj pewności siebie, Toots był wielce dręczony niepewnością, czy lepiéj mu było zawinąć mankietyi czy też mieć je odwinięte. Widząc że tak był je sobie urządził Feder, poszedł za jego przykładem, ale gdy nadszedł ktoś inny trzymając się przeciwnego systematu, Toots uznał znowu za stosowne go naśladować. Ponieważ jednak nie zdołał powziąść w tym względzie stanowczego postanowienia, spędził znaczną część wieczoru na odwracaniu swych mankietów to na prawą, to na lewą stronę.

Gdy się już poschodzili wszyscy uczniowie, każdy przystrojony w bardzo sztywny krawat i mając w ręku najświeższy swój kapelusz, pojawił się w salonie pan Baps nauczyciel tańca, ze swoją małżonką. Wejście téj pary wywołało ruch ogólny. Korzystając z téj chwili Pawełek przypatrzywszy się już wszystkim do woli, opuścił wygodne miejsce które zajmował na sofce w rogu salonu, i poszedł do sąsiedniego pokoju w którym przyrządzano herbatę, aby tam oczekiwać przybycia Florci. Weszła nareszcie, tak urocza w swem skromnem białem ubraniu, ze świeżemi kwiatami w ręku, że gdy wzięła brata w objęcia i poczęła go ściskać, zaledwie mógł się oderwać od téj słodkiéj pieszczoty.

— Co ci takiego, Florciu? zapytał po chwili, zaniepokojony łzą, którą dostrzegał w jéj oku i korzystając z tego że sami byli w pokoju.

— Nic, kochanie moje—nic wcale, odpowiedziała.

Pawełek dotknął z lekka palcem jéj twarzy i napotkał łzę, która po niéj spływała.

— Dlaczego to, Florciu? spytał.

— To nic, mój aniołku pojedziemy razem do domu, tam będę cię pielęgnować...

— Mnie pielęgnować? powtórzył Pawełek.

Nie rozumiał dla czego potrzebował być pielęgnowanym ani też czemu Florcia odwróciła twarz na chwilę, a potem już patrzyła na niego z uśmiechem.

— Słuchaj no Florciu, rzekł bawiąc się z czarnemi splotami jéj włosów, powiedz mi prawdę, czy i ty znajdujesz że stałem się dziwacznym?

Uśmiechnęła się słodko do niego i popieściwszy go przez chwilkę, rzekła:

— Nie, nie znajduję tego.

— Bo widzisz Florciu, dodał, słyszę ciągle że to o mnie mówią, więc chciałbym wiedzieć co to znaczy?

W téj chwili, nowo przybywający goście przerwali im rozmowę, Był to sir Barnet Skettles, członek izby niższéj, z żoną i z synem. Ten ostatni miał wejść po wakacjach do zakładu Blimbera; Pawełek już o tem słyszał od Federa, który mówiąc o Skettlu zapewniał, że gdyby ów gentleman chciał się tylko w izbie odezwać, czego od lat kilku daremnie wyczekiwano, z pewnością starłby na miazgę przywódzców lewicy.

— To jest gabinet gdzie zwykle pracuje pan doktor; rzekła młoda służąca wprowadziwszy panią Skettles do pokoju.

Ta ostatnia popatrzała w około siebie przez lornetkę, potem rzekła do męża:

— Bardzo mi się tu wszystko podoba.

Małżonek jéj skinął głową w sposób potakujący, ale mały Skettles rozglądał się po pokoju z pewnem niedowierzaniem.

— Czy to który z uczniów spytała pani Skettles wskazując Pawełka,

— Tak jest, proszę pani, to jeden z młodych gentlemanów zakładu, odpowiedziała służąca.

— A jak się ty nazywasz, mój chłopczyku? spytała pani Skettles.

— Dombey, odpowiedział Pawełek.

Usłyszawszy to nazwisko, Barnet Skettles zbliżył się do Pawełka i powiedział mu, że miał zaszczyt spotkać się z jego ojcem na jakimś uroczystym obiedzie i wynurzył nadzieję, iż szarowny pan Dombey cieszył się dobrem zdrowiem. Potem mówił coś z cicha do żony i Pawełek zasłyszał wyrazy. W starem mieście.... bardzo bogaty... wielce poważany... mówił mi o nim doktór.

Skettles prosił także Pawełka, aby nie zapomniał oświadczyć ojcu jego uszanowania, co tenże przy-

rzekł uczynić; potem przedstawił mu syna. Młody Skettles był w téj chwili bardzo zajęty tacą z ciastkami, do któréj już dobrał się. Ojciec podprowadził go bliżéj i rzekł wskazując mu Pawełka:

— Pamiętaj że się masz poznać z tym młodym gentlemanem, i że wolno ci przyjaźnić się z nim,— te ostatnie słowa wyrzekł z pewnym uroczystym naciskiem.

— Ach! cóż za oczy! co za włosy cudowne! zawołała pani Skettles, przyglądając się Florci przez lornetkę.

— To moja siostra, rzekł Pawełek, przedstawiając ją.

Zachwycenie rodziny Skettlów nie miało już wtedy granic. Pani Skettles oświadczyła, że od pierwszego wejrzenia pokochała całem sercem te śliczne dzieci i wszyscy razem udali się do salonu.

Zaledwie tam weszli, młody Barnet Skettles stanął do tańca z Florcią, wybraną dla niego przez doktora. Niezdawało się jednak aby się czuł tem bardzo uszczęśliwiony; przeciwnie, wyglądał znudzony jakoś i roztargniony, co tem bardziéj zdziwiło Pawełka, że przed chwilą słyszał jak pani Skettles zapewniała Blimbera, że się jéj syn na zabój pokochał w téj anielskiéj pannie Dombey.

Czując się coraz bardziej zmęczonym, Pawełek poszukał gdzieby mógł usiąść. Ale rozglądając się po salonie, spostrzegł ze zdziwieniem, że miejsce które poprzednio na sofce zajmował pozostało wolnem, jak gdyby każdy pamiętał o tem, że do niego należało. Podobnież, gdy zauważano że lubił patrzeć na tańczącą siostrę, każdy starał się aby mu tego widoku nie zasłaniać. Wszyscy goście, nawet obce osoby, rozmawiały z nim uprzejmie i zapytywały o jego zdrowie i czy nie był bardzo zmęczony. Czuł się wdzięcznym za tak ogólną życzliwość i doznawał uczucia zupełnego szczęścia siedząc wygodnie oparty na sofce, któréj drugi koniec zajmował Skettles rozmawiający z Blimberem. Po każdym tańcu Florcia siadała na chwilę przy bracie i z chęcią byłaby z nim cały wieczór pozostała, gdyby jéj nie prosił ciągle Pawełek żeby tańczyła. Było to dla niego prawdziwą rozkoszą wtedy na nią patrzeć, i blada jego twarzyczka ożywiała się rumieńcem gdy słyszał pochwały oddawane siostrze, ogólnie uznanéj królową zabawy.

Ze swego miękkiego siedzenia wysłanego poduszkami, Pawełek mógł dokładnie widzieć i wszystko słyszeć co się w około niego działo, tak jak gdyby owa uroczystość wyłącznie dla jego zabawy się odbywała. Pośród innych urywków rozmowy, zasłyszał jak Baps nauczyciel tańca, mówił bardzo poważnie i z pewnem zakłopotaniem do Skettla z którem się był przed chwilą zapoznał:

— Cóżbyśmy naprzykład zrobili, gdyby nam wzamian za nasze złoto, nasyłano same surowe materjały.

Pawełek nie usłyszał odpowiedzi Skettla, sam będąc zajęty szukaniem znaczenia ostatnich wyrazów Bapsa. Po chwili, słyszał jak ten ostatni mówił znowu:

— Gdyby nas naprzykład Ameryka zalała swoim łojem?

Przypuszczenie to musiało sprawić na zagadniętym bardzo przykre wrażenie, bo przez czas jakiś milczał w smutnem zamyśleniu. Wreszcie rzekł:

— Ha! w takim razie, chybabyśmy się odbili na bawełnie.

Zadowolony sprawionem wrażeniem, Baps odszedł bardzo poważnie. Skettles popatrzył za nim, w przekonaniu, że rozmawiał z człowiekiem niepospolitym. Mówiąc po chwili z doktorem wynurzył zdanie, a nawet spytał czy ów gentleman tak obeznany z najwyższemi ekonomicznemi zadaniami, nie zasiadał kiedy w najwyższéj radzie handlowéj? Blimber odpowiedział, że nie sądził aby to miało miejsce kiedykolwiek, gdyż pan Baps był tylko profesorem.

— Niezawodnie statystyki, lub też ekonomji politycznéj? przerwał Skettles.

— Trochę odmiennéj wprawdzie nauki, rzekł doktór, ale w każdym razie jest to człowiek dosyć wykształcony; udziela lekcje tańca w moim zakładzie.

Wiadomość ta wywołała w Skettlu najwyższe oburzenie i całkiem zmieniła jego usposobienie względem Bapsa. Poszedł opowiedzieć żonie doznany zawód, i przez resztę wieczoru nie zaszczycił więcéj nauczyciela tańca ani jednem spojrzeniem.

Pawełek zauważył także, że im więcéj Feder spożywał ciastek popijając je limoniadą, usposobienie jego stawało się coraz weselszem, a nawet po biszofie począł znajdować, że muzyka grała nadto jakoś powoli i że należało ożywić koniecznie zabawę. Zabrał się tedy do tańca i był w nim z paniami bardzo zalotnym. Tańcując z panną Blimber, szeptał jéj nawet jakieś czułe wierszyki, ale Pawełek zaledwie parę słów z nich potrafił dosłyszeć.

W dalszym ciągu wieczoru zauważył, że też same wierszyki powtarzał Feder kilkakrotnie innym pannom. Pani Blimber była nieco zakłopotana tem niezwykłem zachowaniem się kandydata filologji i bojąc się aby powaga zakładu na tem nie szwankowała w oczach pani Skettles, poprosiła ją o pobłażliwość dla tych małych wybryków, całkiem zresztą wyjątkowych u człowieka tyle statecznego. Pani owa okazała się w tym razie bardzo wyrozumiałą a nawet powiedziała, iż znajduje pana Federa, względnie rzecz biorąc, wcale jak się należy i że nawet jego sposób noszenia włosów, nacechowany niezwykłą prostotą, bardzo się jéj podoba.

W czasie przerwy pomiędzy tańcami, pani Skettles rzekła do Pawełka że musi lubić muzykę kiedy jéj tak słucha uważnie? Przyznał że tak jest w istocie, zapewnił że jeśli i ona ma to samo upodobanie, nie małą będzie dla niéj przyjemnością usłyszeć śpiew Florci. Oświadczyła że niczego mocniéj nie pragnęła;— Florcia odmawiała zrazu, nie chcąc dać się słyszeć w tak licznem towarzystwie, ale skoro ją poprosił Pawełek żeby to dla niego zrobiła, poszła zaraz do fortepianu i poczęła śpiewać rzewną jakąś piosenkę.

Każdy ze słuchaczy usunął się tak aby Pawełek mógł ją widzieć. Z jakąż rozkoszą patrzał wtedy na swą Florcię ukochaną, zwracającą ku sobie wszystkie oczy, czarującą wszystkie serca dźwięcznym głosem w którym jéj dusza przemawiała. Zdawało się że w téj chwili złoty łańcuch nadziei i marzeń wiążących go z tą siostrą ubóstwianą, jaśniał promiennie każdem swem ogniwem. Szczęście jakiego doznawał Pawełek przejęło go tak silnem wzruszeniem, że kilka razy musiał ukradkiem ocierać łzy płynące mu z oczów. Gdy go spytano czy ów śpiew nadto go nie rozdrażnia, odpowiedział: O nie, ale mi w samo serce idzie.

Każdy tego wieczoru pokochał Florcię i nie mogło być inaczéj, tak silnym był urok który ją otaczał. Pawełek siedząc w swym kąciku, doznawał najsłodszych wrażeń, słysząc głoszone zewsząd jéj pochwały. Wogóle, wszystko co słyszał i czego doznawał w ciągu owéj nocy, wydawało mu się raczéj widzeniem niż rzeczywistością. Dawniejsze wrażenia jego życia, mięszały się w nim z obrazami które go otaczały, zlewając się i stapiając z niemi na podobieństwo barw tęczowych lub też zmiennych a niepochwyconych odblasków, zdobiących pióra pewnych ptaków, gdy na nie padnie promień słoneczny. Mgliste tłumy myśli przesuwały się przed nim wywołane dźwiękami głosu, w którym się zasłuchał; zdawało mu się że stoi jak nieraz samotny w oknie wychodzącem na morze, rzucające swe marzenia rozkołysanym falom, które to je z sobą unoszą, to w toń pogrążają. I niby ten sam głos, którego dawniéj nie rozumiał, gdy mu się kiedyś na wybrzeżu ze swego wózka przysłuchiwał, znowu do niego się odzywa w słodkich dźwiękach śpiewu siostry i w życzliwym szmerze otaczającego ją tłumu. Przychylność tę ogólną czuł Pawełek w powietrzu, którém owego wieczoru oddychał, czuł że i on miał w niéj swój udział, i uszczęśliwiony tak jak nigdy dotąd nie był jeszcze w życiu, marzył i słuchał, rad aby ów wieczór nigdy nie miał końca.

Nadeszła wszelako godzina w któréj goście poczęli się rozchodzić. Wtedy pan Skettles zbliżył się znowu z synem do Pawełka i polecił mu, aby go przypomniał pamięci swego szanownego ojca. Potem kazał synowi uścisnąć rękę małego Dombeya i wynurzył nadzieję, że ci dwaj młodzi gentlemanowie zostaną wkrótce serdecznemi przyjaciołmi. Pani Skettles uściskała także bardzo czule Pawełka a nawet biedna pani Baps która przez cały wieczór siedziała wielce osamotniona w kącie koło szafki ruszyła się z miejsca i przyszła mu życzyć dobrego zdrowia i wesołych wakacji.

— Żegnam pana doktora, rzekł Pawełek podając rękę Blimberowi i zatrzymując przyjazne wejrzenie na szpetnéj jego twarzy. Dziękuję za tyle dobroci pana dla mnie, jeszcze o jedną łaskę bym poprosił, to jest żeby w mojéj nieobecności miano staranie o Dyogenesie.

Tak się nazywał ów pies podwórzowy z którym Pawełek miał przyjazne stosunki. Doktór obiecał rozkazać aby o nim pamiętano i mały Dombey już uspokojony w tym względzie, począł żegnać bardzo czule panie, przyczem się pani Blimber tak rozrzewniła, że nawet przepomniała rozmówić się z p. Skettles o Cyceronie, do czego się przez cały wieczór przygotowywała. Kornelia rzekła ściskając rączki Pawełka:

— Dombeyu, jakże mi cię braknąć będzie! tyś był wybranym moim uczniem, — niech cię Bóg prowadzi i w zdrowiu zachowa.

Słysząc to, Pawełek myślał sobie jak często sąd ludzki bywa niesprawiedliwym. Wszyscy jego towarzysze mieli Kornelję za osobę wielce oschłą i surową, a tymczasem ileż było serca w jéj słowach!

Gdy Pawełek już miał odjeżdżać, wszyscy się ruszyli żeby go odprowadzić do sieni. Uczyniła to nawet cała rodzina doktora, co, jak twierdził Feder, stanowiło zaszczyt, którego dotąd żaden z uczniów nie dostąpił. Służba wybiegła także na schody aby pożegnać Pawełka, a służący cierpiący na oczy miał je jeszcze czerwieńsze jak zwykle podczas gdy odnosił książki i pakunki małego Dombeya do powozu, mającego odwieźć na tę noc oboje dzieci do mieszkania pani Pipchin.

Feder i Toots a z niemi i wszyscy uczniowie, żegnali Pawełka z hałaśliwemi objawami przyjaźni, wszystko co go w téj chwili otaczało, było w stanie podniesienia dziwnie sprzecznego z chłodną ciszą, cechującą zwykle ów wytworny zakład. Wrażenie téj nowéj całkiem atmosfery działało na to wątłe dziecko w sposób upajający, gdy w sieni Florcia otulała go starannie w płaszczyk, rzekł do niéj z cicha: Czyś ty szczęśliwa że mię tak kochają? a gdy to mówił, serdeczna radość jaśniała w jego oczach.

Z powozu, Pawełek pożegnał ostatniem spojrze-

niem wszystkie twarze ku niemu zwrócone. Jakże ich tam wiele było! Wydawały mu się w téj chwili jakieś niewyraźne i niby poruszające się bezładnie, tak jak gdyby na nie patrzał w źwierciadle którem ktoś potrącał. Po chwili nic już nie widział, tylko Florcię obok niego siedzącą. Przytulił się do niéj i zamknął oczy. Odtąd, ilekroć wspominał zakład Blimbera, wrażenie téj ostatniéj chwili najżywiéj w nim się budziło, ale w taki sposób jak gdyby to był sen jakiś mglisty, w którym same tylko oczy widział wyraźnie, a wszystkie te oczy na niego patrzyły..

Toots przyszedł jeszcze do powozu pożegnać Pawełka. Zajrzał wewnątrz i spytał:

— Czy jest tu Dombey? Potem, obszedłszy powóz, zajrzał weń z drugiéj strony i powtórzył swe zapytanie, ale nie czekając odpowiedzi odszedł. Gdy wreszcie ruszono z miejsca, długo oboje dzieci śmiały się z tego osobliwego pożegnania.

Ileż to błogich wspomnień zabierał z sobą Pawełek! Nie długo mu jednak danem było niemi się rozkoszować. W kilka chwil zaledwie po odjeździe, wszystko się jakoś w około niego zamgliło, i nigdy już potem nie umiał sobie wyraźnie przypomnieć tego, co nastąpiło po owym uroczym wieczorze. Dla czego, zamiast pojechać zaraz nazajutrz do Londynu, pozostał z Florcią przez nie wiedzieć ile dni i nocy u pani Pipchin? Dla czego leżał w łóżku i siostra ciągle przy nim siedziała? I czy to ojca widywał nieraz w pokoju, czy tylko cień jakiś na ścianie? Czy naprawdę słyszał mówiącego kiedyś lekarza: „Gdyby nie dogodzono jego żądaniu, tem silniejszemu że ciało tyle jest u niego wątłe, prawdopodobnie byłby umarł.“ Wyraźnie zasłyszał te słowa, ale o kim to mówił wtedy lekarz?

Zdawało mu się także iż sam nieraz mawiał do Florci: Ach! zawieź mię do domu i nie opuszczaj mię już nigdy. Ale może mu się to śniło tylko, bo ilekroć o tem myślał, słyszał znowu własny głos powtarzający te same wyrazy.

Przypominał sobie nieco dokładniéj chwilę, w któréj go niesiono po schodach tak dobrze mu znanych, a także że przez długi czas słyszał turkot powozu w którym leżał wsparty na ręku Florci, mając naprzeciw siebie panią Pipchin. Pamiętał jak go położono w jego dawnem łóżeczku już w domu, i że była przy nim ciotka z panną Tox i Zuzią, ale pośród tych wspomnień było jedno, które go najżywiéj zaciekawiało, i które pragnął koniecznie mieć sobie rozjaśnione.

— Florciu, rzekł pewnego razu, chciałbym być sam z tobą na chwilkę, mam ci coś powiedzieć.

Obecne osoby wyszły z pokoju, siostra pochyliła się nad jego łóżeczkiem.

— Powiedz mi Florciu, rzekł, czy to ojciec był w sieni kiedy mię z powozu wynoszono?

— Tak, moje kochanie.

— Czy to mi się zdawało, że wtedy odszedł płacząc do swego pokoju?

Florcia poruszyła przecząco głową i uściskała Pawełka.

— To mi się widać tylko przywidziało rzekł. Bardzo rad jestem że ojciec nie płakał.

— Tylko mu nie powiedz Florciu, żem cię o to pytał.

Koniec tomu pierwszego.

OPOWIADANIE ŻOŁNIERZA

WYDANE PRZEZ

Amadeusza Acharda.

(Dalszy ciąg).

Tak samo zupełnie wyglądał ekwipaż cesarza, kiedy przed dwoma zaledwie miesiącami widziałem go jadącego do Longchamps w dzień wyścigów. Dziś wszystkie oczy w nim były utkwione, ale jeden tylko głos zawołał: Niech żyje cesarz! Z całego owego tłumu ten jedyny wybiegł okrzyk, bo pierś każdego ugniatało przeczucie okropnego nieszczęścia. Gdy nas mijał powóz, człowiek jakiś rzucił się przed konie i chwyciwszy za nogi trupa leżącego na drodze, odciągnął go szybko na bok. Dopóki patrzałem na oddalającego się tego, którego miano późniéj nazywać człowiekiem Sedańskim, nie podobna mi było tchu w piersi złapać. Wszystko znikło wreszcie, ten który powiedział był: Cesarstwo to pokój, przepadał wśród wojny zamętu.

Wnętrze Sedanu przedstawiało w dniu onym najboleśniejszy widok. Trudno wyobrazić sobie postać niewielkiego miasta, zalanego znagła powodzią całéj armji w rozbiciu. Wszędzie po ulicach widać było leżących pod ścianami śpiących żołnierzy. Nie było już ani rozkazów, ani dowódców, tylko rojący się bezładnie tłum zrozpaczony, niepojmujący jeszcze dokładnie tego co się stało. Przed domami od bomb zniszczonemi, zawodziły płaczem rodziny pozbawione schronienia. Błąkałem się bez celu, osłupiały tak strasznym końcem owych olbrzymich zapasów. Od czasu do czasu, napotykałem twarz znajomą i zatrzymywano mię, zamienialiśmy kilka wyrazów, kilka bolesnych wykrzyknień. Już się rozchodziła pogłoska, że cesarz udał się do głównéj kwatery króla Wilhelma. Wściekłość żołnierzy nie szczędziła mu obelg; zarzucano mu że życie dotąd zachował, oficerowie nie więcéj go oszczędzali; wypytywano o szczegóły jego przejazdu, opowiadania o papirosie wywoływały wybuchy oburzenia. I to synowiec wielkiego Napoleona! powtarzano w tłumie.

Około drugiéj po południu, kapral z mojéj kompanii zawiadomił mię, że oddział nasz otrzymał rozkaz połączenia się z resztą pułku, zajmującego lewą stronę cytadeli. Znalazłem tam zaledwie kilkuset ludzi, na których bój zażarty stoczony w dniu poprzednim pozostawił straszliwe ślady. Jedni z nich zajęci byli opatrywaniem ran, których nie chcieli leczyć w szpitalu, inni naprawiali podarte mundury.

Kapitan z którym zabrałem był znajomość w obozie pod Chalons i który okazywał mi wtedy wiele życzliwości, spostrzegłszy mię obecnie, zbliżył się ku mnie z posępnym uśmiechem.

— Cóż tedy? rzekł, czyliż nie trafnie kreśliłem ci obraz twego przyszłego zawodu?

— Prawda, odpowiedziałem, niczego w urzeczywistnieniu jego nie braknie; ani krwi, ani nędzy ani......... niedoli...

— Dodaj do tego wszystkiego przypuszczalne skutki klęski tak wielkiéj, że niepodobna jéj było przewidzić, nawet najdoświadczeńszym.

Zamilkł na chwilę, potem odpowiadając na wzrok mój zapytujący, dodał:

— Doczekasz się ich wkrótce, dodał smutnie; a wierzaj mi, rzeczywistość prześcignie najgorsze nawet przypuszczenia...

Westchnął, potem] przeszedłszy się parę razy, rzekł znowu:

— Aleś przynajmniéj nie ranny?

— Ani mię nawet draśnięto, zdrów jestem i cały.

— Pod szczęśliwą się gwiazdą urodziłeś, mój chłopcze; ileż to zuchów nam ubyło, odkąd widziałem się z tobą! Po Reichshoffen, Sedan, co tu mogło z tego ocaleć? Pułk nasz poszedł w szmaty.... Wszyscy ci których widziałeś przy pułkowniku temu parę tygodni, gdzieś się zapodzieli... lub już nie żyją;.....

Gdy to mówił, twarz jego mocno pobladła.

— Czy nie potrzebujesz czasem czego? spytał otrząsając się z przykréj zadumy.

— Nie, dziękuję całem sercem.

— Z resztą, zostaniemy pewnie razem chociaż z jakie dni kilka, gdybym mógł być ci w czem pomocnym, udaj się wprost do mnie.

To rzekłszy odszedł wolnym krokiem, spoglądając ponuro na ową bandę odzianą w łachmany, która była niegdyś pułkiem.

Nazajutrz, komuż dzień ten nie pozostał na zawsze w pamięci? rozlepiono po wszystkich rogach ulic proklamacyę jenerała Wimpfena, zawiadamiającą iż podpisał kapitulację miasta i całego wojska w niem zebranego. Byliśmy już wszyscy wojenne mi jeńcami.

Od téj chwili ostatnie resztki karności znikły w armji. Zdawało się że wieść ta z sobą obłęd przyniosła. Gęsto zbite tłumy otaczały miejsca po których proklamacja została porozlepianą, wychodziły z nich głośne obelgi i wyrzekania. Słowo: zdrada! z ust do ust przelatywało. Wojsko zostało sprzedane, wołano, naprzód je na rzeź wyprowadzono, potem za złoto przefrymarczono. Groźne gwary napełniały miasto, żołnierze nie oddawali jenerałom należnych oznak uszanowania. Wściekłe tłuszcze wałęsały się z dzikiemi przekleństwy po ulicach, tworząc miejscami zatory na podobieństwo kry partéj w zbyt ciasne przejścia. Szał pijaństwa mięszał się z szałem rozpaczy. Co do mnie, wszystkie myśli moje skupiały się w jednem słowie: byłem jeńcem! jeńcem po trzydniowéj kampanji!

Chodząc po mieście, napotkałem znowu znajomego mi kapitana.

— Cóż tedy? powiedział mi tylko.

Nie znalazłem ani słowa odpowiedzi. Ścisnął mię za rękę i poszedł daléj. Niektóre twarze nosiły piętno straszliwéj rozpaczy. Zdawało się, że z pułkiem złożonym z ludzi takich, możnaby się było przez co bądź przebić. Wielki Boże! z jakąż radością byłbym za szaspot pochwycił w téj chwili, gdyby dano hasło do ataku! A tu nic, tylko błędne tłumy tułające się pośród opasujących je zewsząd szańców!

Jedni zaczepiali drugich, naradzano się, wypytywano nawzajem. Stary ów wiarus, który polubił mię był jakoś od chwili naszéj warty przy okopach, przechadzał się ze mną.

— Czy wiesz chłopcze jakie to życie wojennego jeńca? mówił skubiąc sobie z niewesołym uśmiechem siwiejącą brodę. Chleb razowy, woda za napój, za mieszkanie kazamaty, za robotę przerzucanie ziemi rydlem, a do tego często gęsto kije po plecach.... Tytoniu ani do powąchania! Czy kto widział co podobnego? Żeby też na to, aż z Afryki człowieka sprowadzić! Proszę uniżenie!.. Wyjść cało z pod Inkermana i z pod Solferino i zostać wreszcie złapany jak szczur w pułapkę, to rzecz zabawna doprawdy! Dopiero się też z nas uśmieją Kabyle! Wszystko djabli wzięli: stary pułk mój poszedł w niwecz, oficerowie ziemię gryzą, bywajcie zdrowi koledzy; wszystkich nas wiatr porozności! Ty przyjacielu je-

steś z Paryża, zaraz ci to z oczu patrzy, ja z Oranu tu przybyłem, a obadwaj, do Niemiec się dostaniemy!.. I czy nie zrobił człowiek wszystkiego co tylko potrafił? Do kroćset djabłów, niech kto powie może żeśmy się spisali jak tchórze?

Zapewniłem go, że myśl podobna nie mogła nikomu przyjść do głowy: to go nieco uspokoiło w gniewnym zapale.

— Tak jest chłopcze, rzekł biliśmy się tęgo co się zowie, ale dowódzcy wszystko zgubili.

Wrzask i hałas niesłychany przerwał naszą rozmowę, pośpieszyliśmy w stronę zkąd pochodził. Ohydny widok uderzył nasze oczy, był to rabunek zapasów żywności, wydanych na łup wojsku przez intendenturę. Tłoczono się i potrącano wśród zamętu nie do opisania, miejscami bito się na dobre. Wśród tego chaotycznego bezładu, straciłem w krótce z oczu mego towarzysza. Wyuzdane tłumy rzucały się na paki sucharów i solonego mięsa z okrzykami raczéj do wycia zwierząt podobnemi. Wybijano kolbami dna beczek, wino i wódka lały się strumieniem po ulicach, żołnierze najbliżsi miejsca téj ochydnéj swawoli, brodzili w płynie po kostki. O pareset kroków ztamtąd, inne oddziały dotkliwy głód cierpiały. Ci którzy najlepiéj zdołali się opatrzyć, sprzedawali nasyciwszy się do woli, zbywającą zdobycz zgłodniałym kolegom. Widziałem licytacją, na chleb i na słoninę, odbywającą się wśród żartów i śmiechu pijanéj tłuszczy.

Zaledwie zdoławszy z tłumu się wydostać, odszedłem, oburzeniem a raczéj wstrętem niewysłowionym przejęty.

V.

Skoro tylko doszedłem do naszych stanowisk, owładnęła mię niemoc niesłychana, było to znużenie raczéj nerwów niż ciała, pochodzące po większéj części z wrażeń w dniu tym doznanych. Czułem się zbity i bezsilny, jak po ciężkiéj chorobie. Wkrótce, zapadłem znowu w ów sen ołowiany, który mię zmożył poprzedniéj nocy, gdy leżałem na trawie przy okopach. Z chwilą zbudzenia, czekała mię straszliwsza jeszcze zmora. Wszystkie pułki odebrały rozkaz oddania broni. Nie zapomnę nigdy ponurego, lecz wspaniałego widoku jaki wtedy przedstawił się moim oczom. Całe miasto jednym dreszczem zadrżało. Miara została dopełnioną: piętnowano hańbą szczątki pozostałe z bohaterskich rozpraw pod Spicheren, Reichshoffen i Weissemburgiem. Serce pękało na widok rozpaczy starych afrykańskich wiarusów. Jeden drugiego zapytywał, czy to być mogło? Niektórzy płakali, mnie także łzy w oczach kręciły się. Ten upragniony szaspot, którym od trzech dni dopiero się cieszyłem, potrzeba go więc było oddać! Nie, na to nie mógłbym się zdobyć. Wziąłem go za lufę i silnem uderzeniem, rozbiłem w kawały o pień drzewa. Toż samo robiła większa część moich kolegów; zewsząd rozlegały się uderzenia kolb o bruk i o mury. Żołnierze rozbierali karabiny i kawałki ich rozrzucali na wszystkie strony. Artylerzyści pouczepiani przy kartaczownicach, odejmowali na prędce jaką szrubę, łamali jaką sprężynę, byleby działo niezdolnem do użycia uczynić; inni z ponurą rozpaczą zagważdżali w milczeniu swe armaty. W téj chwili cały Sedan stał się był jednym ogromnym warsztatem zniszczenia; oficerowie patrzyli na tę robotę, nie przeszkadzając jéj. Kawalerzyści rzucali do rzeki pałasze i kirysy, kaski i pistolety; na ulicach, noga zawadzała co chwila o jakieś szczątki. Każdy krok wywoływał chrzęst metalu; szał rozpaczy wszędzie zapanował wszechwładnie.

Nadeszła wreszcie chwila rozpoczęcia grobowego pochodu, który nas wszystkich czekał. Ujrzałem znowu bramę Paryzką i zwodzony most przy którym rozpocząłem mój wojenny zawód. Długie tłumy jeńców przeszły przedmieście z którego usiłowaliśmy dniem przed tem wyparować Bawarów. Domy były tam od kul podziurawione, u niektórych dachy pozapadały, ale trupy już poуprzątano co do jednego. W około tych domóstw spustoszonych, drżały i płakały rodziny, które w nich pierwéj zamieszkiwały. Konny officer sztabowy stał przy drodze, wyczekując nadejścia naszych kolumn. W miarę jak nadciągały, wołał silnym głosem:

— W tę stronę piechota! w tamtą konnica!

Stosownie do wskazanych im stanowisk, oddziały szykowały się po obu brzegach, i tam przez całą godzinę, ogromna owa ludzka trzoda, czekała stojąc w błocie dalszych rozporządzeń. Przygnębienie następujące zwykle po wielkich klęskach, owładnęło było każdego, wielu żołnierzy kładło się na wilgotnéj ziemi, lub na kupach kamieni, nie mogąc od znużenia utrzymać się na nogach. Po pewnym czasie głód zwyciężył we mnie moralne cierpienie; dobyłem z kieszeni kawałek suchara i począłem jeść chciwie, zagryzając surową słoniną. Nikt z nas nie wiedział dokąd nas miano zaprowadzić. Po upływie godziny, ruszyliśmy w dalszy pochód, po drodze błotnistéj gdzie nieraz przychodziło brodzić w kałużach wyżéj kostek. Po obu jéj stronach stały poustawiane co sto kroków plutony pruskich żołnierzy, mających przed sobą pootwierane ładownice, najsystematyczniej ładunkami pozapełniane. Podczas gdy piechota czuwała nad ruchami całéj massy jeńców, kawalerzyści przebiegli sąsiednie pola, z pistoletami w ręku, dla spędzenia na drogę jeńców odłączających się od kolumn, nie szczędząc im płazowania. Nie trzymaliśmy się już wcale szyku; oficerowie szli zmięszani z żołnierzami. Wraz z karnością, uszanowanie dla starszych znikło było, szare płaszcze żołnierskie ocierały się zuchwale o mundury złotem błyszczące; konnica potrącała w przejeździe własnych dowódców. Najgorsza ze wszystkich anarchji, anarchja żołdactwa, opanowała nieszczęśliwe wojsko nasze, ztąd co chwila zajścia i bójki, których nie było komu poskromić.

U kresu drogi którą szliśmy, znajdował się most rzucony nad kanałem opasującym od téj strony rodzaj wyspy utworzonéj przez Mozę. Tam nas wpędzano oddziałami. Wyspa, a raczéj półwysep Glaires miał być naszem więzieniem. Było to więzienie dobrze obmyślone, za mury służyła mu rzeka, trudniejsza nieraz do przebycia od kamiennéj lub ceglanéj zapory, jak się o tem miałem sposobność przekonać w ciągu kilku dni, które tam spędziłem na krążeniu w około mojéj siedziby, z cierpliwą wytrwałością zwierzęcia w klatce zamkniętego.

Starsi nasi zuawi rozglądali się posępnie w około, młodsi przyspieszali kroku, ciekawi wymierzyć rozległość przestrzeni im wyznaczonéj. Na niektórych twarzach malowała się ponura rozpacz, większa część przygnębienie tylko i znużenie wyrażała. Wściekłość strawiła już była samą siebie.

— Teraz się dopiero zacznie dogryzanie! rzekł do mnie stary mój przyjaciel. Ciesz się chłopcze, dodał; nauczysz się dobrze całego fachu w krótkim czasie. A czy masz tam co jeszcze tytuniu?

Wydostałem jakąś resztkę z kieszeni i oddałem mu ją. Twarz jego wyraziła radość, która dała mi poznać czem jest tytoń w życiu żołnierza. Dobrze naładowana fajeczka, to, chwilowe zapomnienie wszelkiéj niedoli i niedostatku.

— Poczciwy z ciebie chłopak, nie ma co mówić rzekł ściskając mię za rękę, tak że aż kości trzeszczały.

Miałem w nim na jaką godzinę przyjaciela, który byłby oddał życie za mnie.

Półwysep Glaires jest utworzony z lekkiéj wyniosłości, któréj oba boki spływają ku Mozie; mieści się na nim ładna wioska z tartakiem i obszernem wiejskiem pomieszkaniem. Po drugiéj stronie rzeki, rozległe łąki ciągną się do stóp wzgórzy zaroślami pokrytych pozajmowanych przez nieprzyjaciela w chwili, gdy je po raz pierwszy nasze oczy oglądały.

Oficerowie pruscy przechadzali się tam i napowrót po półwyspie, sztywno i systematycznie, i wskazywali każdemu z oddziałów składających ów ogromny tabor jeńców, jakie miejsce miał zająć. Nie widać tam było ani chwili wahania się, lub zakłopotania. Młody jasnowłosy porucznik, wysmukły i blady, był naszym przewodnikiem. Na jego skinienie, zatrzymywaliśmy się lub szliśmy daléj. Często zaglądał do pugilaresu, w którym zapewne pułki powierzone jemu do pomieszczenia były porządkiem zapisane. Gdy po raz ostatni przystanęliśmy na pochyłości wzgórza, porucznik rzekł głośno, wskazując nam palcem ziemię.

— Tu miejsce dla panów.

Była wtedy godzina ósma wieczorem. Pod nogami mieliśmy grunt błotnisty, porosły kępami wilgotnéj trawy.

— Jeśli sobie nie wybrał dobrego posłania, rzekł doimnie jakiś kolega, mający jeszcze zapas dobrego humoru, to ci wspaniale połowę mojego łóżka odstąpię.

Mówiąc to, leżał już na wilgotnéj ziemi, poszedłem za jego przykładem, widząc że nie było w czem przebierać.

Otworzywszy oczy po kilkogodzinnym spoczynku, znalazłem się całkiem przemokły od deszczu; szal w który byłem owinięty zdawał się tylko co z rzekł wyciągnięty. Drżałem jakby w febrze. Noc jeszcze panowała w około, ale słabe brzaski dające już rozpoznać zarysy wyższych wzgórzy, zapowiadały bliskie dnia nadejście. Podniosłem się z ziemi i chcąc się nieco rozgrzać a także postarać się o zaspokojenie głodu, poszedłem na pole poszukać kartofli, nie znalazłem już bowiem w kieszeniach ani okruszyny suchara. Ale nadzieja moja spełzła na niczem; wielu z moich towarzyszy w padło było na myśl podobną i niestety, uprzedzili mnie w jéj wykonaniu. Pole zostało już jak najdokładniéj wyprzątnięte.

Poszedłem szukać daléj czy się co nie nadarzy, bo głód coraz bardziej mi dokuczał. Deszcz nie przestawał padać. Gdy się lepiéj poczęło rozwidniać, spostrzegłem z radością trzodę baranów pasącą się na skraju sąsiedniego pola.

— Kotlety! jak mi Bóg miły; zawołał idący za mną kolega.

W mgnieniu oka, już byłem przy owczarzu pasącym trzodę.

(d. c. n.)

Opis do N. 1.

N. 1. Kapelusz okrągły marynarski. Czarny kastorowy kapelusz, ma rondko powleczone gładko aksamitem, a główkę objętą skosem, ułożonym w fałdy. Kokarda aksamitna z pukli i dwóch spuszczonych końcy 42 i 45 cent. długich, czarne pióro i pąsowy mieniony ptaszek, dopełniają przybrania.

N. 2 i 3. Wiązany kapelusz pamela. Podajemy tu jeden kapelusz włożony na głowę, a drugi przedstawiony z boku pokryty brązowym aksamitem, z podpięciem i wypustkami rypsowemi, tegoż koloru. Z tyłu, w miejsce karczka, dane pukle ze wstążki brązowéj 7 centym. szerokiéj i przepięcia z czarnéj koronki, z pod których spadają 22 centym. długie końce. Trzy rypsowe i trzy aksamitne skosy, naprzemian idące, przystrajają główkę, na któréj przypięta jest gałązka róży otoczona jesienną trawką i atłasowemi, brązowemi liśćmi. Do wiązania przyszyte szarfy 7 cent. szerokie, 42 cent. długie.

N. 4. Okrągły kapelusz z podwiniętem rondkiem. Popielaty, filcowy kapelusz, przybrany takiegoż koloru aksamitem i woalem gazowym, podpiętym w bufy aksamitnym węzłem, z pod którego wysuwa się pąsowe, gładkie piórko. Woalik 59 cent. szeroki 90 c. długi, u dołu obrębia się wązko. Gaza otaczająca główkę, wzięta jest w połowie szerokości.



N. 1 Kapelusz okrągły marynarski.

N. 2. Kapelusz wiązany pamela aksamitny. Bok.

N. 4. Kapelusz wiązany z podwiniętem rondkiem.

N. 3. Kapelusz okrągły z podwiniętem rondkiem.

N. 5. Suknia z tuniką grenadinową. Na białéj sukni alpagowéj, ze stanikiem pod szyję i wązkiemi rękawami, założone „vêtement" z szerokiemi rękawami, z czarnéj jedwabnéj grenadiny w rzucik. Dwie skośne plisowane falbanki z alpagi, po 13 cent. szerokie, oszyte u dołu czarną wypustką z materji, riusza grenadinowa układana w kontrafałdy, pliski grenadinowe $^3/_4$ cent. szerokie z białą wypustką i 2 cent. szeroka frendzla, stanowią przystrojenie spódnicy, ułożone koleją, wskazaną na wzorze. Takaż riusza z grenadiny, 5 cent. szeroka, zakończa u dołu tunikę podpiętą z tyłu i na bokach, 310 cent, szeroką u dołu, 110 długą z tyłu, a 62 cent. z przodu. Riusza koło karoczka i na staniku ma tylko 4 cent. szerokości. Z pod riuszy przy tunice, rękawach i karoczku spada frendzla czarna jedwabna, 7 c. szeroka, mięszana z białemi jedwabnemi kulkami. Czarne szmuklerskie guziki, z białemi gwiazdkami zapinają stanik.

N. 6. Ubranie z wyciętym stanikiem dopełnione szmizetką i rękawami. Suknia z wyciętym stanikiem i z krótkiemi rękawkami, popielata jedwabna, ma do mniéj strojnego ubrania dodaną szmizetkę i rękawy długie, z popielatéj krepy. Garnirunek spódnicy składa się z wolantu marszczonego, wyciętego w zęby u dołu, szerokiego na 16 cent., z dwóch plis atłasowych popielatych i z zębów, krajanych każdy osobno, podłożonych podszewką i objętych atłasem. Zęby te są 14 cent. długie, a 7 cent. wysokie na środku i układane podług wzoru. Wycięcie stanika zakończają: plisa z materjału sukni, zaokrąglona z przodu i wycięta w zęay, którą otacza



N. 5. Suknia z „vêtement" grenadinowem.

N. 6. Suknia ze stanikiem wyciętym i szmizetką krepową pod szyję.



N. 7. Suknia muślinowa z falbankami i haftem gipiurowym.

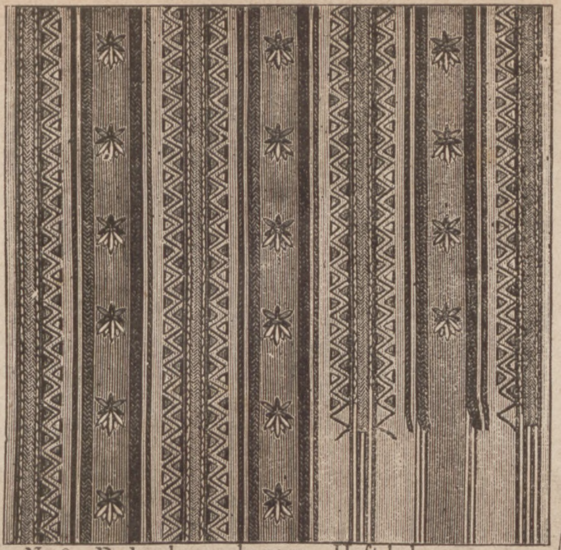
N. 8. Suknia z wyciętym stanikiem i szerokiemi rękawami.

rendzla jedwabna i popielate atłasowe pliski. W górę dane dwa rzędy ząbków atłasowych, układanych z kawałków atłasu, zwykłym sposobem. Króciutkie, jedwabne rękawki, są również zakończone ząbkami.

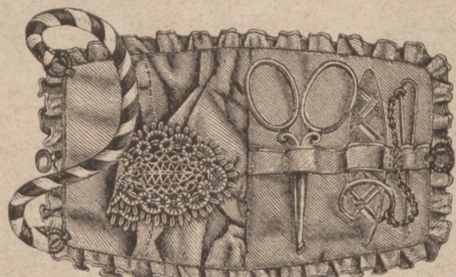
Tylny bryt tuniki czy to jedwabnéj lub krepowéj zaokrąglony u dołu, jest krajany prosto i liczy 150 cent. szerokości dolnéj, 92 środkowéj długości a 25 cent. bocznéj długości. Bryt przedni ma 50 cent. długości w środku, 84 cent. dolnéj a 40 centym. górnéj szerokości. Falbanka jedwabna wycięta w zęby, 5 cent. szeroka, popielate atłasowe pliski i kokardy na bokach dopełniają tuniki. Na szmizetkę i rękawy długie, przybrane wstążką, krepa zaszywana jest w wązkie fałdy. Rękawki u dołu i wykrój szyi zakończony jest falbaneczką krepową, przyszytą atłasowemi pliskami. Pasek i szarfy popielate jedwabne. Do głowy i do gorsu wpięte białe lub kolorowe kwiaty.



N. 17. Bukiecik haftowany do pasa na fotel N. 16.



N. 9. Poduszka na kanapę. Haft kolorowy na drylichu. Patrz N. 10 i 11.



N. 13. Woreczek z przyborami do frywolitów. Otwarty. Patrz N. 12.

N. 7. Suknia muślinowa z falbankami i haftem gipiurowym. Przybranie sukni muślinowej ze stanikiem pod, szyję włożonéj na spódnicy i wyciętym staniku z kolorowego półbatystu, składa się z prostych muślinowych falban, 7—16 cent. szerokich, 1 i pół i 4 cent. szerokiego brzeżku i 3 cent. szerokiéj wstawki, haftowanéj gipiurowo na batyście. Trzy falbany naszyte są na sukni w około, dalsze 7 wolantów dane tylko do przedniego bryta, skrajanego w kształcie fartuszka, oszytego wolantem 7 cent. szerokim, który w górze zwęża się do 4 c. szerokości. Przednia część składa się z bryta, 61 c. długiego, 73 szerokiego u dołu, 30 c. u góry i z dwóch bocznych brytów zaokrąglonych, u dołu 25, w górze 15 c. szerokich. Ażurowa wstawka przykrywa szwy boczne i środek bryta Stanik z szerokiem i rękawami ma z przodu 49 centym. z tyłu 53 cent. długości. Pasek wązki muślinowy, oszyty na dwie strony brzeżkiem gipiurowym. Szarfa złożona z pukli muślinowych, oszytych gipiurą i przepiętych węzłem, może być zastąpiona kolorową jedwabną.

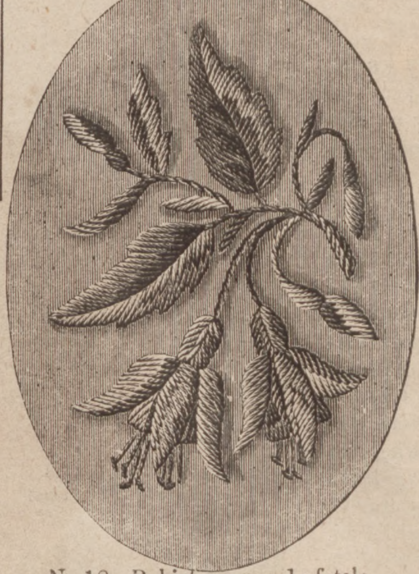


N. 12. Woreczek z przyborami do frywolitów. Zamknięty. Patrz N. 13. Robota pleciona.



N. 14. Doniczka ze szlakiem nakrapianą robotą.

N. 8. Suknia z wyciętym stanikiem i szerokiemi rękawami. Suknia z wyciętym stanikiem i krótkiemi rękawami, ma dodany bardzo szeroki plisowany wolant krepowy, tegoż koloru. Stanik przybrany w rodzaju gorsecika szerokiemi plisami i falbankami z otwartemi rękawami również z krepy. Tunika krepowa dość długa, bufowana z tyłu.



N. 18. Bukiet na pas do fotela. Patrz N. 16.

N. 9—11. Poduszka na sofę. Haft kolorowy na drelichu w paski.

Materjał: drelich w paski, wełniana plecionka czarna (1 cent i pół cent. szeroka:) niebieska (1 i 1/4 szeroka:) czarny sutasz, jedwab filozelowy w kolorach: zielonym, pąsowym, niebieskim, żółtym, białym i czarnym.

Mocny drelich w pasy szare, pąsowe i białe, którego dostać można w sklepach z dywanami i pokryciami na meble, stanowi materjał na tę łatwą i niezmudną robotę. Za tło może być także użyty jednokolorowy materjał, na którym naszywane i podkładane kawałki materji, zastąpią fabrycznie przerobione paski. N. 11 wskazuje naszycie tasiemki, z pod któréj wyglądają białe paski z brzegów, przez te paski dany szew jedwabiem kolorowym, ściegiem długim; w miejsce pasków białych, na tle jednokolorowem naszywa się biały sutasz. Pąsowe paski 6 cent. szerokie, przeszyte są czarną plecioneczką, 1 c. szeroką, pół cent: szeroka plecioneczka czarna, odznacza wązkie prążki na tle szarem.

Na prążkach pąsowych i białych na przemian, naszyta niebieska plecionka rozdzielająca pasy białe i ponsowe. Na prążkach białych naszyty niebieski deseń, krzyżowym ściegiem, a na pąsowych dany haft, który przedstawia w naturalnéj wielkości N. 11. Ząbki między haftem, naszyte czarnym sutaszem, obwódki koło trójkątów wyszyte czarnym jedwabiem. Trójkąciki sięgające niebieskiéj plecionki, są na modelu zielone, w drugim zaś



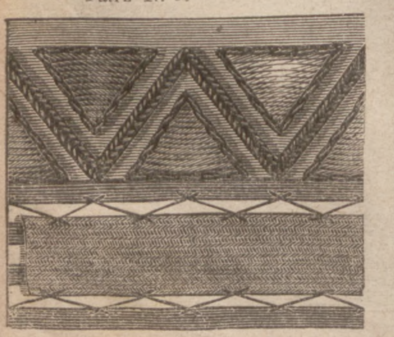
N. 16. Krzesło z haftowanym pasem i poduszka pod nogi. Haft płaski i naszycie plecionką. Patrz N. 17—19.



N. 15. Doniczka ze szlakiem malowanym ręcznie.



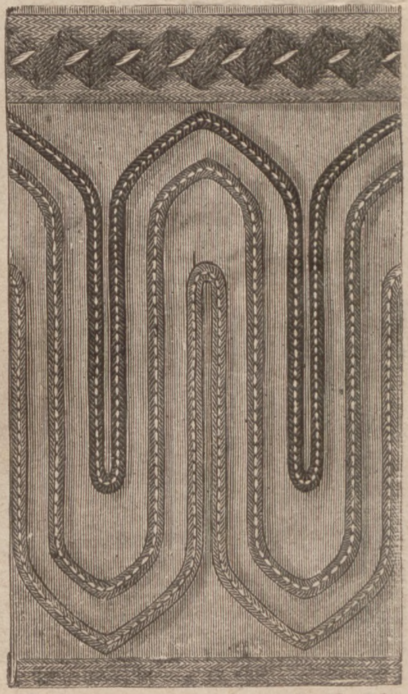
N. 10. Wzór haftu kwiatów na kolorowych paskach poduszki Patrz N. 9.



N. 11. Szlak z plecionką i haftem do poduszki. Patrz N. 9 i 10.



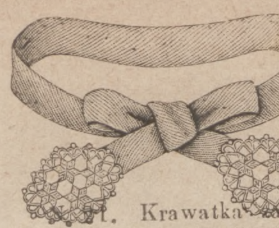
N. 20. Deseń do czapeczki męzkiéj na suknie lub aksamicie.



N. 19. Wyszycie sutaszem do fotela N. 16.

rzędzie, idą niebieskie i pąsowe na przemianę.

Czarna obwódka otacza również każdy listek kwiatka, na tle pąsowem. Trzy główne listki są białe, leżące między niemi są żółte, dwa niższe boczne pąsowe, trzy dolne niebieskie. Deseń kwiatów podaje N. 10.

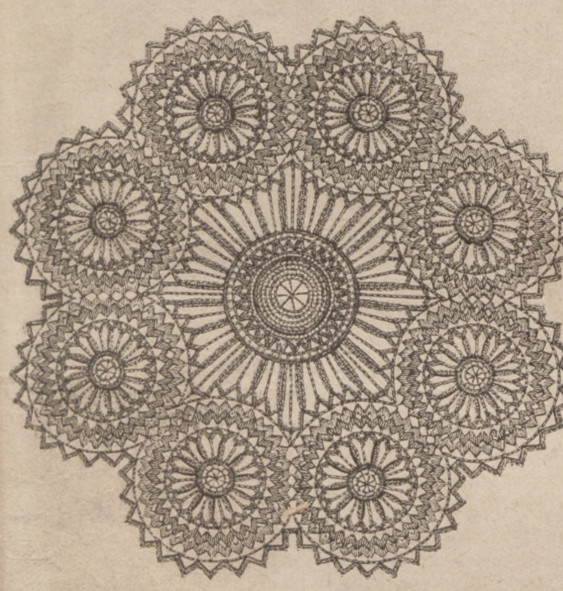


N. 21. Krawatka zakończona medaljonami. Plecionka w ząbki i szydełkowa robota.

N. 12 i 13. Woreczek z przyborami do frywolitów plecioną robotą. Materjał: czarna amerykańska skóra; lila wełniana taśma pół cen szeroka; perełki stalowe; materja, wstążka 2 cent. szeroka; jedwab lila; trzy małe kółka mosiężne; 1 guziczek stalowy, tektura.

Pokrycie woreczka, 14 centy. długiego, w środku 8, z brzegów 6 i pół cent. szerokiego, na lila, jedwabnéj podszewce, podłożonéj tekturą, stanowi robota pleciona z pasków czarnych skórzanych i taśmy wełnianéj; na kratkach naszyte są stalowe perełki.

W środku, na jednéj połowie, dana kieszonka jedwabna, 9 cent. szeroka, 4 i pół c. głęboka, nawleczona u góry elastyką na robotę i nici; w drugiéj połowie naszyta jest wzdłuż wstążka z trzema przedziałami, na niezbędne przybory: nożyczki, nawetkę i igłę do łączenia. Sznur pokryty czarnym i lila paskiem, przymocowany za dwa mosiężne



N. 26. Okrągła serwetka. Plecionka w ząbki i szydełkowa robota. Patrz N. 27.

kółka, obrobione jedwabiem, służy do trzymania woreczka, brzegi ogarnirowane riuszą jedwabną, spięte są na guziczek i trzecie kółeczko.

N. 14—15. Dwie doniczki do kwiatów ozdobione szlakami. Ponieważ zwyczajne doniczki gliniane, najlepsze są dla kwiatów, lecz nie mogą przyozdabiać okien podajemy więc tutaj dwa wzory doniczek z pięknie odmalowanemi szlakami. Szlaki te mogą być odrobione z wzorów znanéj dekalkomanji nakrapianem malowaniem, którego wytłomaczenie już nieraz podawane było razem ze wzorami w Tygodniku Mód, lub też ręcznem malowaniem, dla osób posiadających ten talent. Doniczkę wziętą na ten cel, potrzeba wybrać gładką, wyszlifować jeszcze ostrym papierem, sprzedawanym w sklepach, i umyć w czystéj wodzie. Na tak przygotowanéj doniczce, nakleić deseń dekalkomanji, która powszechnie jest znaną, albo też przyozdobić ją nakrapianem malowaniem jak to N. 14 wskazuje.

N. 15 podaje doniczkę ze szlakiem, ręcznie malowanym, farbami wodnemi. Na modelu tło jest pąsowe, figury w kształcie serc czarne, a arabeski białe.

N. 16—19. Krzesło z haftowanym pasem i poduszka pod nogi. — Haft płaski i naszycie sutaszem. Materjał: cienki szary drelich i szara podszewka, włóczka w różnych cieniach: niebieska zielona, pąsowa, lila, różowa i żółta, niezbyt ciemna plecionka brązowa wełniana 1 cent, szeroka, trochę węższa czarna plecionka w ząbki, czarny, ciemny i jaśniejszy sutasz brązowy. Pas pokrywający krzesło, odrobiony jest na drelichu, 28 cent. szerokim, szlaki wyszyte sutaszem, co w maszynie idzie bardzo łatwo i prędko. Pas środkowy przyozdobiony jest małemi bukiecikami, haftowanemi włóczką. Oddzielone tylko 2 cent. przedziałami, rzucane są bukiety pąsowéj fuksji, z lila bratkami, żółte anemony i inne niebieskie i różowe kwiatki. Dwa takie bukiety podają N. 17 i 18 w naturalnéj wielkości. N. 19 wskazuje wyszycie sutaszem w trzech kolorach przystembnowane maisowym jedwabiem. Kwasty, sznury i frendzla muszą bydź odpowiednie do sutaszu, brązowego koloru. Poduszka pod nogi, dowolnéj wielkości, przyozdobiona jest na środku dużym bukietem, w otoczeniu arabesek, wyszytych sutaszem. Riusza z wełnianéj plecionki brązowéj, otacza w koło poduszkę.



N. 22. Kołnierzyk z podwójnemi rogami. Płótno i robota szydełkowa.

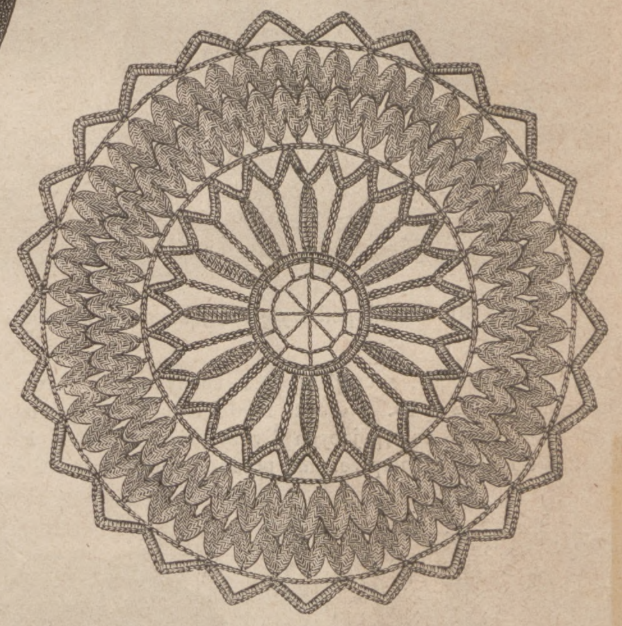
N. 20. Deseń na czapeczkę męzką. Sukno lub aksamit wyszywa się nitką złotą i kolorowemi jedwabiami. Wielkość naturalna.



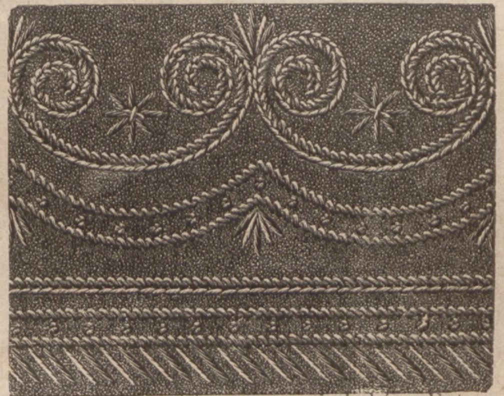
N. 23. Haft na skórze do pantofli. Bukiet główny. Patrz N. 24 i 25.

N. 21. Krawatka na szyję. Tasiemeczka w ząbki i robota szydełkowa. Rozeta zakończająca krawatkę, składa się z czterech pojedynczych gwiazdek obrobionych w koło brzeżkiem szydełkowym lub frywolitowym. Każda z gwiazdek liczy 6 ząbków, złączonych z sobą. Brzeżek, którym są obrobione 4 gwiazdki po złączeniu razem, można dobrać według gustu.

N. 22. Kołnierzyk z podwójnemi końcami, z płótna i szydełkowéj



N. 27. Pojedyncza rozeta do N. 26. Plecionka w ząbki i szydełkowa robota.



N. 24. Haft na skórze, naszycie boków. Patrz N. 23 i 25.

roboty. Rogi do kołnierzyka wszyte w pasek 2 cent. szeroki skrajane są z kwadrata, 7 cent. wielkiego z potrójnie wziętego materjału, przeciętego ukośnie.

Z pod płóciennych rogów kołnierzyka, spuszczają się ażurowe szydełkowe lub koronkowe żeby, kolorowa wstążka lub aksamitka czarna z kokardką, zakończają kołnierzyk.

N. 23—25. Haft na skórze do pantofli. Materjał: popielata matowa skóra, niezbyt ciemny popielaty sznureczek kręcony, popielaty jedwab koronkowy w 4 cieniach, złoty sznureczek i nici złote.

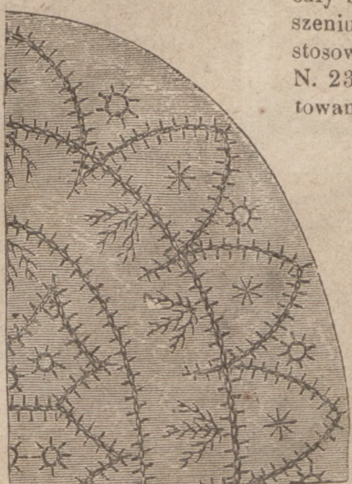
Na tło do tego gustownego haftu, podanego w naturalnéj wielkości pod N. 23 i 24, może służyć oprócz skóry sukno, ryps wełniany lub aksamit w ulubionym kolorze. Ażeby ułatwić zrozumienie deseniu, podaliśmy pod N. 25 cały męzki pantofel w zmniejszeniu. Na kobiece pantofelki stosowny jest bukiet podany pod N. 23, kwiaty i liście są haftowane wypukło do cieniu i ożywione pojedynczemi ściegami złotemi; szczególnie pięknie wydają się kielichy kwiatów odrobione złotem. Wypukło haftowane muszki; gwiazdki haftowane ściegiem luźnym, nawet sznureczek kręcony, wszystko otoczone jest złotym sznureczkiem. Jasno popielate gwiazdki mają w środku złoty krzyżyk; luźne ściegi idące brzegiem są naprzemian jedwabne i złote.



N. 25. Pantofel haftowany na skórze. Patrz N. 23 i 24.



N. 28. Postument pod butelki. Lakierowana robota szydełkowa.



N. 29. Haft ściegiem luźnym. Medalion na poduszeczkę, do śpilek i t. d.



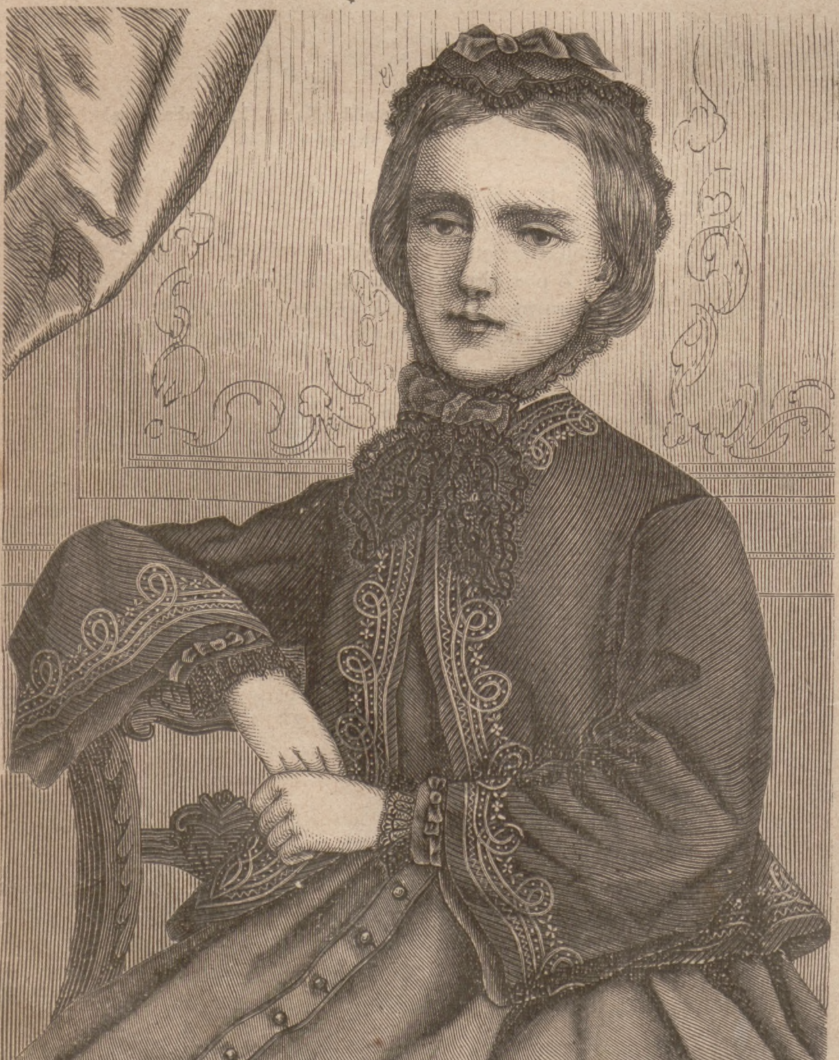
N. 30. Stanik pod szyję z wązkiemi rękawami i szmizetką.

N. 26—27. Serwetka okrągła. Plecioneczka w ząbki i robota szydełkowa. Materjał: tasiemeczka w ząbki (1 cent. szeroka), bawełna do szydełka, estramadura N. 8. — Skrócenia o.—oczko; o. ść. — ścisłe o., o. pow. — o. powietrzne; sł. — słupek, pół sł. — pół słupek.

Pojedyncze gwiazdki odrabiają się podług rozety, podanéj w naturalnéj wielkości pod N. 27. lecz bez ostatniego rzędu ząbków gdyż ten dodaje się dopiero po wykończeniu serwetki. Łączenie gwiazdek wskazuje N. 26. Ząbki łączy się jak zwykle przy takich robotach od spodu, pasując ząbek dó ząbka i przerabiając 1 o. ść. i 3 o. powietrznemi. Na gwiazdkę liczy się 44 — 46 ząbków, końce plecionki powinny być bardzo mocno z sobą spojone. Poczem obrabia się wewnątrz koła pierwszy raz łańcuszkiem, dając ciągle 3 o. pow. przedzielone p. sł., zaczepionym w każdy ząbek. Na ząbki drugiego rzędu robić 9 o. pow., w równych odstępach przerabianych 1 o. ść., za ten łańcuszek następnie zadzierguje się 12 o. ść. w środku rozdzielonych 2 o. powietrznemi. Chcąc zacząć następujący rząd listków i sł. 6 razy nawijanych, przeprowadza się nitkę do środka ząbka, robi 14 o. pow. zastępujących 6 razy nawinięty sł. i 12 o. pow., przyczepionych o. ść. w następny ząbek i obrobionych raz nawijanemi sł. co stanowi listek. Dalej w około idą takie listki i sł. naprzemian, przedzielone w górze 2 o. powietrznemi..



N. 31. Stanik pod szyję z karoczkiem i szerokiemi rękawami.



N. 32. Kaftanik z kolorowym haftem.

Dalszy ciąg opisu N. 1. nastąpi w dodatku N. 2 Tyg. Mód.



N. 33. Stanik pod szyję wyszyty sznureczkiem.